ROK IV. SIERPIEŃ TOM VIII (XXXVIII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: ulica Mokotowska Nr. 47.

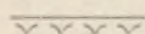
Agencya w Łodzi: przy księgarni Władysława Kaczmarka, ulica Piotrkowska Nr. 107.

1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 августа 1904 года.

Treść tomu VIII, sierpniowego 1904 r.,

ogólnego zbioru XXXVIII.



ILLUSTRACYE:





Błogosławieństwo Ojca Świętego Piusa X, najmiłościwiej udzielone redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego.“

Dzielimy się z drogimi Czytelnikami najradośniejszą wiadomością, jaka nas w życiu spotkać mogła. Oto Ojciec Ś-ty Pius X, z wysokości

Stolicy Piotrowej, udzielił redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego” swego Apostolskiego błogosławieństwa; podany sobie rocznik pisma wziął w swe najdostojniejsze dłonie i patrząc nań, wyrzekł: „Błogosławię!”

To wielkie dobrodziejstwo duchowe spływa nietylko na redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego” i jej współpracowników, lecz w równej mierze i na czytelników.

Dzieląc się tą radością naszą ze wszystkimi, którzy „Dzwonek Częstochowski” czytają, uważamy ją, jako dowód dla nas łaski Bożej i Przenajświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej.



Rozważania o Chwalebnem Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny.

„Dusze sprawiedliwych — głosi Mędrzec Boży — w ręce Pańskiej są, a nie tknie się ich męka śmierci. Zdało się oczom głupich, że umarli; poczytane jest utrapieniem dokończenie ich, i droga, która od nas jest, zatraceniem: lecz oni są w pokoju. I choć przed ludźmi męki cierpieli, nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności. Na małem bywszy utrapieni, na wielu będą dobrze sposobieni, bo je Bóg doświadczył i znalazł je godne być siebie. Jako złota w piecu próbował ich, a jako ofiarę całopalenia przyjął je.“

Właśnie rozważać mamy śmierć taką, śród drogich Panu najdroższą; takie złoto bez skazy, bez przywary, czego po Chrystusie żadnej duszy ludzkiej nie dano; złoto czyste w piecu życia, w morzu płomieni i męki wypróbowane, a znalezione najgodniejszem Pana i chwały Jego; rozważać mamy najsłodsze całopalenie miłości, „wznoszące się — jak mówi Psalmista — ku niebu niby promień dymu z wonnych rzeczy mirry i kadzidła.“

Taką bowiem była śmierć Najświętszej, Niepokalanej Bogarodzicy Maryi, śmierć, wobec której pełni zachwytu i uwielbienia pytali Ojcowie Kościoła:

— Zgon-li to, czy zmartwychwstanie? Śmierć, czy porwanie w niebiosa ku chwalebnej nieśmiertelności?

Kościół uznał śmierć Maryi za rzeczywistą, ale była ona tak słodką, cichą, błogosławioną, tak niechybnem a rychłem zmartwychwstaniem uwieńczoną, taką opromieniona chwałą, że Doktorzy Kościoła nie *zgonem* ale *zaśnieniem* ją nazywają, a Kościół, zespalając ją od wieków w hołdach swej wiary i miłości z cudem zmartwychwstania, święci ją wespół z tryumfalnem wejściem Maryi na tron nieba, z jasnością i chwałą Jej Wniebowzięcia.

Śmierć to szczególna, jak szczególnym jest cały żywot Przenajświętszej Dziewicy, tem najpodobniejsza do śmierci Jezusa, nie że krwawa, bolesna, przeciwnie, bez żadnego bolu i cierpienia, lecz że, jak tamta, nie była skutkiem grzechu, bo Marya, jak Jezus, bez grzechu jest i zmazy, — ale była daniną, złożoną śmiertelnej naturze człowieka. Śmierć owa tem jeszcze podobna do Jezusowej, iż była następstwem i owocem miłości. „Umiłował mnie — powiada o Zbawicielu Apostoł — i Siebie wydał za mnie“ — oto przyczyna śmierci Jezusa. Marya umiłowała Boga i Syna swego tak, iż dłużej żyć w tej miłości nie mogąc, z miłości też umarła, bo „mocna jest jako śmierć miłość.“ „Marya — powiada pisarz kościelny — umarła nie wskutek jakiej choroby cielesnej, lecz siłą miłości i najszczytniejszego zachwycenia. Być to bowiem może, iż dusza z takiem wytężeniem temi aktami niebieskiemi się pochłonie, iż zwleka niejako ciało z siebie, wyzwala się z potrzeb i wpływów jego; że ziemskie życie znika, a dusza w więzach śmiertelnych ostać się nie może.“

Ś-ty Augustyn cudnie nam wykłada tę tajemniczą moc ukochania. „Miłość nasza — mówi on — rozpłomienia nas i w górę wznosi, a Duch Twój, Boże, podnosi nizkość naszą i podwyższa od bram śmierci.“ Własnością bowiem jest każdego ciała, iż wagą swoją ciąży ku środkowi swemu, a ciąży niekoniecznie ku dołowi, lecz i w górę niekiedy. Naprzykład kamień na dół spada, a ogień wystrzela w górę; olej, wylany na wodę, po nad nią się unosi, a woda, na olej wlana, na dno idzie. I dusza ma ciążenie swoje, a jest niem miłość, która ją ku przedmiotowi umiłowanemu ciągnie i porywa. Z łaski Boga zapalamy się miłością, podnosimy się w górę, płomieniejem i coraz wyżej a wyżej zdążamy, kładąc „wstępowania w sercu naszem“ i pieśń niebieskiego śpiewając kroczenia „od mocy do mocy, aż tam do Boga w Syonie.“

Jeżeli tak jest z każdą duszą, którą Boska nawiedziła i podniosła miłość, to cóż dopiero mówić o duszy Maryi, wybranym przybytku Ducha miłości, pełnym niebieskiego ukochania, jakiego po Bogu, po Chrystusie niemasz drugiego! Jakimże cudownym lotem unosiła się ona tam ku Wiecznemu Ojcu, Panu, Oblubieńcowi swemu! Jakże ciążyła wciąż ku Niemu w górę, każdą chwilę życia coraz wyżej się wznosząc, coraz bardziej się napełniając łaską, miłością, upragnieniem. „Pociągnij mnie, o, pociągnij ku Sobie — wołała słowy Salomona — a za Tobą pobiegnę do wonności Twoich, a rozraduję się i rozweselę w Tobie. Przyjdź, Miły mój, wynijdźmy na pola z tych dusznych nizin ziemskich, mieszkajmy w przybytkach Twoich. Przyłóż mnie, jako pieczęć, do serca Twego, jako pieczęć do ramienia Twego, bo mocna jest, jako śmierć, miłość, twarda, jako piekło, rzewliwość, pochodnie jej, pochodnie ognia i płomieni. Wody mnogie nie mogły ugasić miłości i rzeki

nie zatopią jej. O, błagam was, duchy nieba, córki niebieskiego Jeruzalem, jeśli najdziecie Miłego mego, abyście Mu oznajmiły, iż mdleję, ustaję z miłości.“

I przychodzi opatrzna, błogosławiona chwila, kiedy miłość ta, dosięgłszy szczytu, musiała zerwać doczesne pęta ziemskiej niewoli, zwlec cielesną powłokę, wstrzymującą jej polot i unieść Matkę ku Synowi, Córkę ku Ojcu, Oblubienicę ku Oblubieńcowi, całą gwałtownością i mocą niebieskich porywów, całą siłą tajemniczą ciążenia łaski i chwały. Przychodzi chwila, kiedy Pan, długo doświadczający i podnoszący wciąż Umiłowaną Swoją, pośpiesza tam na Jej spotkanie, płacąc niewymowną pięknością Swą za miłość, chwałą za pokorę, wielkością bez granic, błogosławieństwem bez końca za nieograniczoną wierność i służbę — i zawoła, i powie słowy Pieśni Oblubieńczej:

— „O, wstań, śpiesz się, Przyjaciółko moja, Gołębico moja, Piękna moja, a przyjdź! Boć już zima ziemskiego wygnania, próby, rozłąki, krzyża — minęła; deszcz utrapień i przeciwności przeszedł i przestał. Dzięki łasce mojej, działaniu Ducha Bożego, Twojej wreszcie macierzyńskiej czujności, pieczy, pracy, ukazały się kwiatki na ziemi naszej; na wybranej, użyźnionej trudem i krwią moją, a łzami i modlitwami Twemi roli Kościoła, zajaśniały prześliczne kwiaty apostolstwa, męczeństwa, świętości; prawda moja i wiara, jak bujna winnica, moją ręką szczepiona, a Twoją wypielęgnowana opieką, rozrosła się wspaniale po świecie, a iżby tem słodszy i bogatszy wydała owoc, rychle długiemi prześladowań wiekami nawiedzoną i oczyszczoną będzie. Przyszedł czas winnic obrzezania. Twoje matczyne posłannictwo spełnione, miłość nasza spólna dłuższych zwłok już nie ścierpi. Pójdźże więc, Oblubienico moja, pójdź z Libanu, z wzniosłych wyżyn Twych wdzięków i zasług; pójdź, będziesz koronowana koroną odpowiednią godności Twojej i ukochaniu, koroną, jakiej, po człowieczeństwie mojem, żadne przed Tobą, ni po Tobie nie posiadło stworzenie. Ty będziesz królową nieba i ziemi, Ty zasiądziesz obok mnie przy tronie moim, udarowana jasnością i chwałą, Ty się staniesz znakiem wielkim na niebie: niewiastą obleczoną słońcem, rozkoszą Aniołów, wszystkich Świętych moich koroną. Pójdź więc, pójdź Oblubienico moja, będziesz koronowaną!“

Taka jest śmierć Maryi, ta jej prawdziwa, istotna przyczyna.

Matka Boża, chociaż śmiertelna z natury, lecz już w poczęciu samem cudownie zastrzeżona od grzechu, którego śmierć gorzką jest zapłatą, promienna wszelkiemi przywilejami łaski, mogła też, zaiste, i tego dostąpić daru, aby zgoła nie zaznała śmierci żywcem, jak Eliasz lub Enoch, porwani w niebiosa. Lecz Pan chciał, aby przeszła przez nią, obca zresztą wszelkiemu jej udręczeniu i boleści, a chciał z rozlicznych powodów.

O śmierci Maryi opowiadają nam Ojcowie Kościoła. Przed rokiem streściliśmy już w naszym „Dzwonku Częstochowskim“ ich opowieść, dziś powtarzamy ją uzupełnioną. Otóż, według relacyi Ojców Kościoła, osnutej ściśle na wiarogodnych podaniach, dwadzieścia trzy lata mijało od uroczystej chwili, kiedy zmartwychwstały Chrystus, chwalebny piekieł i śmierci Pogromca, po raz ostatni zgromadził miłych wybrańców Swoich, uczniów, wyznawców, a ubłogosławiwszy ich i pokrzepiwszy obietnicą zesłania Pocieszyciela, wrócił do Ojca, który Go był dał i zasiadł po prawicy Jego. Już Apostołowie oddawna spełniali szczytne posłannictwo swoje, ku któremu wybrał ich Jezus, a Duch Ś-ty namaścił. Już głos ich natchniony, za podmuchem Boskiego wiatru wieczernika, rozlegał się od krańca do krańca świata. Z dniem każdym szerzej jaśniało światło Ewangelii i działy się cuda wielkie pod słońcem — cuda potęgi Boga, a miłości i bohaterstwa odrodzonego człowieka. Malały szeregi niewiernych, mnożyło się grono Chrystusowych wyznawców i spełniała się przepowiednia Pańska:

— „Skoro podniesion będę na krzyżu, podniosę wszystko ku sobie. Ufajcie, jam zwyciężył świat!“

Nagle, pośród tego ruchu zbawienia i nowego życia, wieść jakaś, jakaś wielka powstaje nowina, biegnie z ust do ust mistrzów i uczniów, jakiemś dziwnie tęsknem, rzewnem uczuciem serca wszystkich napełnia. Apostołowie rzucają na chwilę sieć swego duchowego połowu, przerywają naukę i cuda, i z pośpiechem, z różnych stron, kierowani Bożem natchnieniem i jakby niebieskim unoszeni obłokiem, zdążają ku Jeruzalem. Bo oto tam, na Syonie, w domu Jana, spełnić się ma zdarzenie niesłychanej, niewysłowionej chwały i krasy: Marya, Matka Chrystusowa i Chrystusowych wszystkich, żywy cud świata, syta już lat i zasług, niespotykanych pośród synów ludzkich, dobiega kresu swego przedziwnego, dziewiczego żywota.

Chociaż zespolona duchem z Synem Swoim, a woli Jego miłośnie poddana, nie mogła Ona nie tęsknić za Nim, nie wznosić się wciąż ku Niemu sercem, pożądaniem, upragnieniem, — Ona, która Go tak nad wszystko i nad wszystkich miłowała. Nie mogła nie wołać do Niego z utęsknieniem w każdej chwili Swego osieroconego życia:

— „Jako pragnie jeleń do źródeł wód, tak pragnie dusza moja do Ciebie, Synu i Boże. Pragnie dusza moja do Boga Mocnego, Żywego. Ach, kiedyż przyjdę, a okażę się przed Obliczem Bożem?! I były mi łzy moje za chleb we dnie i w nocy, gdy mi mówi codzień serce moje: kędyż Jezus? kędy Bóg twój?

Im bardziej się zbliżała do miłości wieczystej, tem żywiej, zapalniej płonął Boży pożar ukochania i upragnień w Jej duszy. Spełniła już zresztą wszystko, co spełnić miała na ziemi. Widząc Swego Jezu-

sa w Kościele i Apostołach Jego, przez długie lata była im najrodzeńszą matką, opieką, wsparciem najdzielniejszem; była im mistrzynią wiary, podnietą żarliwości, zapałem męczeństwa, wreszcie dziewictwa i wszelkiej cnoty hartem.

Lecz teraz nic już powstrzymać nie mogło własnej jej miłości i pożądania nieba porywów, bo przyszedł opatrzny czas, aby prace te szczytne, te nieprzebrane zasługi, te doskonałe piękności, których po Chrystusie nikt jeszcze nie posiadał, otrzymały swoją wspaniałą nagrodę. Przyszedł czas, aby Królowa świata nową koroną chwały na szczycie niebios uwieńczoną była. Całe niebo żądało należnego Jej tryumfu. Ojciec Przedwieczny pragnął już Oblubienicy Swojej, Słowo Boże Matki rodzonej, Duch Ś-ty Swego najmilszego Przybytku, cała Trójca Ś-ta Swej Córki. Aniołowie pożądali uczcić Panią i Królowę, Duchy Niebieskie i Święci pałali żądzą złożenia Jej hołdu czci swej i podziwienia. Przyszedł czas, aby Ołtarz Złoty, na którym się spełniła ofiara Boskiej miłości, w świątnicy niebios zabłysnął; aby Lilia Niepokalana, Matka lilij wszystkich, tam, na łono Boga, kędy Jej początek, przeniesioną została; aby Najśnieżniejsza Gołąbka zwróciła lot swój ku wieczystym wyżynom i tam sobie gniazdo odpowiednie znalazła.

I oto Marya, na śmiertelnem łożu złożona, umiera samą miłością. *Miłością*, bo co innego umierać *w miłości*, jak umierali i umierają Święci, Sprawiedliwi wszyscy, w stanie łaski, w usposobieniu i w żywych aktach miłości, a co innego umierać *miłością*, to znaczy—nie ulegać żadnej innej chorobie, żadnemu zewnętrznemu gwałtowi, żadnej innej przyczynie, jeno samej miłości. Tak właśnie umierała Marya.

Przywiedzeni Duchem Bożym, tłumią się u stóp Jej i łoża, w synowskim żalu, wybrańcy i uczniowie Jezusa, ze czcią korną schylają przed Nią czoła. Na dziewiczej skroni usypiającej słodko snem śmierci Bogarodzicy już błyszczą pierwsze promienie królowania niebiosom. Raz jeszcze wzniosła opiekuńcze Swe ręce nad gromadką synów sierocych; raz jeszcze zapewniła ich o Swej niewygasłej, macierzyńskiej dla nich miłości i pieczy — i bez wysiłku, bez bolu żadnego, bez ściśnienia i tęsknoty konania, na kilka chwil tylko opuściła Swą śmiertelną powłokę, aby śród nieprzejrzanych Chórów Anielskich, które zstąpiły celem utworzenia królewskiej Jej świty, aby w porywie rajskiego zachwytu—wstąpić aż na szczyt chwały, w wieczyste objęcia Bożej miłości.

Podanie, zapisane przez Ś-go Jana z Damaszku, a powtarzane przez Kościół w pacierzach kapłańskich, nadmienia, iż Apostołowie, przytomni temu świętemu aktowi, mieli nawet anielskie widzenie, słyszeli niebiańskie kantyki i hymny, które nietylko brzmiały po nad śmiertelnem łożem Maryi, lecz mieszając się z pieśnią ich własną, towarzyszyły po-

grzebowi i trwały bez ustanku przez trzy dni nad grobem wybranym w Getsemani, na stokach góry Oliwnej.

Inne podanie, tchnące szczerej pobożności wdziękiem, dodaje nadto szczegóły następujące, które miło jest powtórzyć synowskiemu sercu: Marya uprzedzona była przez Archanioła Gabryela o zbliżającej się ostatniej godzinie życia, a to gdy dnia pewnego wracała ze zwykłej pielgrzymki po drogich Sobie miejscach męki Syna. Było to mianowicie na górze Oliwnej, o kilkaset kroków od miejsca Wniebowstąpienia. Arcyksiążę Niebieski ukazał się Jej i wręczył gałązkę palmy, uszczkniętą niegdyś w dniach ucieczki do Egiptu w Hermopolisie, a przechowywaną w niebie i cudownem jaśniejącą światłem. Palma ta miała być niesiona na blizkim Maryi pogrzebie. W temże miejscu wzniesiona była później kaplica, którą jeszcze w XVI stuleciu oglądano.

Marya przyjęła dar Archanioła z najżywszą radością, prosząc tylko, jako o łaskę ostatnią, aby w chwili zgonu mogła oglądać jeszcze miłych sercu Swemu synów — Apostołów Chrystusa, co też Jej udzielonem zostało. Gdy wróciła do domu, Jan pierwszy przybył, niesiony obłokiem; następnie ukazali się inni Apostołowie, a tych Jan zaprowadził do łoża Bogurodzicy.

Znaleźli Ją na poły siedzącą i oczekującą miłośnie ich przybycia. Rozmawiała z nimi czas jakiś, poleciła gorąco, aby trwali zjednoczeni w nauce Jezusowej i zasnęła słodko w ich obecności, bez konania i cierpień. Zabrzmiało z niebios pienie Aniołów, a całe Jeruzalem słyszało melodyjne echa.

Tymczasem Sarvia, towarzyszka Maryi i inne niewiasty pobożne, które zwykle stanowiły Jej otoczenie w ostatnich latach życia, zgromadziły się, aby oddać ostatnią usługę Przenajświętszym Zwłokom — obmyć je i namaścić wonnościami. Lecz oto jasność niebieska tak osłoniła one, że ich dojrzeć nie mogły, a wtedy dopiero znikła, gdy Ciało Dziewicze, okryte całunem śnieżnym, nieść miano do grobu.

Apostołowie na ramionach własnych, śpiewając psalmy, nieśli je na miejsce chwilowego spoczynku, w towarzystwie Zastępów Anielskich, ich pieśni i hymnów. Na czele orszaku szedł najmłodszy uczeń Pański, Jan, trzymając w ręku ową palmę promienną, przyniesioną z nieba. Ledwie atoli orszak przebył połowę miasta, bunt wielki powstał w Jeruzalem pośród Żydów niewiernych, którzy pokusili się wstrzymać pochód żałobny. Jeden z nich, imieniam Jephoniasz, należący do przedniejszych kapłanów, ośmielił się nawet targnąć na Przenajświętsze Zwłoki, lecz w tej chwili ręce mu się oderwały od korpusu i przyrosły do całunu, a inni świętokradcy oślepli. Piotr wstawił się za nimi do nieba — Jephoniasz i ci z Żydów, którzy za jego przykładem wiarę chrześcijańską przyjęli, zostali uleczeni, reszta pokutowała kalectwem

ślepoty. Na pamiątkę cudu tego wzniesiono kolumnę z krzyżem, która istniała jeszcze w XIII stuleciu. Te zdarzenia opowiada Ś-ty Meliton, biskup sardeński, a powtarzają je również późniejsi Ojcowie Kościoła: Święci — Jan z Damaszku, Andrzej z Krety, German z Konstantynopola i inni. Ś-ty Jan z Damaszku nadmienia jeszcze co następuje:

Po trzech dniach, gdy pieśń anielska ustała, Apostołowie otworzyli grób na prośbę Tomasza, który w najdalszej stronie świata zajęty, nie zdążył był na czas śmierci Maryi, a pragnął raz jeszcze oglądać i uczcić Świętą postać, która dała światu Boga Zbawiciela. Lecz ciała w grobie nie było, daremnie go szukano. Znaleziono tylko całun i chusty. Z grobu uderzyła woń niewymownie przedziwna. Apostołowie zamknęli grób, a zdumieni cudem przedziwnym, tak tajemnicę jednomyślnie zrozumieli, iż Ten, który się począł i urodził z Maryi Dziewicy, będąc Słowem Boga i Panem chwały, ustrzegł teraz mocą Swą to ciało od zepsucia, zachował niepokalanem i zbudził je z martwych, przenosząc w niebiosa, a tym sposobem wyprzedzając zmartwychwstanie powszechne.

Opowieść przytoczoną powtarza Kościół corocznie nietylko w brewiarzu swoim, ale nadto święci od wieków, na Wschodzie i Zachodzie świata, uroczystość Wniebowzięcia Bogarodzicy.

Jako pieczęć rozmyślań naszych, kładziemy pokorne westchnienie do Wniebowziętej, napisane przez Sebastyana Grabowieckiego w roku 1590:

„O, Panno Święta, łaskiś napełniona! Tyś, gdy Cię szczera pokora zaleca, w niebo wstąpiła. Znasz, jakom strapiony! Tyś sprawiedliwości Słońce, co oświeca świat, strasznych błędów zewsząd napełniony. Trzema wielkiemi uczczonaś imiony: Matkaś, Córka i Żona. Panno Błogosławiona Króla, którego łaską rozdzierzgniony nasz węzeł ciężki— skąd świat szczęsny wiecznie, proś, niechaj w rany święte me zmysły wzięte, chwalą go serdecznie!“





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany

przez Sługę Bożego.

Zdawałoby się, że gdy człowiek uskromi żądze i potrzeby swoje do tego stopnia, iż w niczem się nie opiera na środkach ziemskich, ale całkiem się odda wszechmocnej woli Boga, — zdawałoby się, że wówczas powinien być wolnym od nagabywań szatańskich. Tymczasem i do takiej duszy złe jeszcze zakołatać może; nawet przy zupełnem poddaniu się Bogu, dusza może jeszcze zawisnąć na samej sobie, a wtedy, wskutek wrodzonego każdej duszy ludzkiej samolubstwa, może dopuścić do siebie bądź zwątpienie, bądź śmiałość zbytnią, bądź inne uczucie podstępne. O ten szkopuł rozbijają się zwykle fałszywi prorocy. Kochają się w okazałościach, w majestacie, kuszą Boga, chcąc Go niejako skłonić, aby bezpośrednio się ujął za nimi, dając przez to dowód, iż z nimi jest. Zuchwałe roszczenie człowieka, pragnącego uczynić Boga sługą marnej swojej myśli i nieskutecznej woli swojej, występuje i tu, chociaż w innej postaci. Gdy ten rodzaj samolubstwa obnażyć z pozorów, w jakie się spowija, natychmiast zrazi i odstręczy ono niedorzecznem swojem zuchwalstwem; ale dopóki się osłania pięknem uczuciem ufności, chociaż przesadzonej, może wydać się cnotą, przybierając pozór ja-

koby ściślejszego złączenia i poufałości z Bogiem. Takiej zasadzki nawet dusze święte nie zawsze się ustrzegą.

Właśnie tego rodzaju była druga napaść szatana na Jezusa. Tym razem zwróci się do siły nadludzkiej. Jakoż porywa Jezusa i zanosi na „ganek kościelny“, to jest może na szczyt którego z krużganków, albo po nad dziedzińce kościelne, skąd wzrok ogarnia dolinę Cedronu, lub na wyniosły dach Hieronu, z którego kapłani co rana, skoro jeno świt się na niebie z za gór Hebrońskich ukazał, ogłaszali wschód słońca. Uniosłszy Go tam, rzekł:

— Jeżeli jesteś Synem Bożym, spuść się na dół. Albowiem napisano jest: „Aniołom Swoim rozkazał o Tobie, i będą Cię na rękach nosili, abyś snać nie obraził o kamień nogi Swojej“.

Poduszczenie to zdradzieckie mogłoby skłonić wolę za mało lub za wiele dufającą, bo zawsze, gdzieś, w najgłębszych zakątkach duszy, drzemie samolubstwo, które daje duszy fałszywe o sobie mniemanie i tym sposobem popycha ją do czynów nierozważnych. Lecz Jezus w Ojcu Swoim pokłada ufność nieograniczoną, tylko z Jego natchnienia działa, przeto żadną miarą nie może dopuścić się czynu, w którymby tkwiła jakakolwiek wątpliwość bądź niedowierzanie Bogu, bądź wreszcie samolubna ufność w ludzką siłę Swoją. Dlatego na podstępne wezwanie szatana odpowiada:

— Nie będziesz kusił Pana Boga twego.

Niektórzy pisarze kościelni ośmielają się przypuścić, że to poduszczenie szatańskie odpowiadało myślom Jezusa, co do zleconej mu sprawy zbawienia i co do trudności onej wykonania. Bowiem wszelka natura, chociażby najzupełniej Bogu poddana, wzdryga się przed trudem walki, przed cierpieniem, przed ofiarą. Jezus nieraz ujawniał trwogę na widok kielicha boleści, który Mu przeznaczono. Nierównie lżej i snadniej spełniłby zadanie, gdyby użył Swojej potęgi i objawił się znakiem cudownym. Lud z radością powitałby Go, spuszczającego się nagle ze szczytu świątyni, w pełni mocy i majestatu, jak gdyby zstępował z niebios. A szatan tę właśnie myśl Mu podsuwał. Mówił:

— Uczyń to, bo Bóg przecież przykazał Aniołom, żeby Cię na rękach nosili. Jeśliś Mesyasz, nie wahaj się, ułatwij sobie zadanie, zdumiewając lud znakiem cudownym potęgi Swojej.

Atoli Jezus pokusę miażdży natychmiast, zwalcza podstępny wykład piekielnika, zdradziecko przeopaczający znaczenie słów Pisma, w których tak pięknie się wyraża nieograniczona ufność w Bogu. Chociażby niewymownie była twardą droga, którą Bóg nam wskazał, zawsze znajdziemy na niej Jego Aniołów, a Ci dadzą nam wsparcie i usuwać będą przeszkody. Lecz rachować na bezpośrednią pomoc Boga, na to, że nas wybawi z trudności i niebezpieczeństw, na jakie samowolnie

się narażamy, to się nazywa kusić Opatrzność Jego. Takie postępowanie jest złe, grzeszne, gdyż zawsze płynie albo z nieufności względem Boga, albo ze ślepej zarozumiałości.

Po drugiej pokusie następuje trzecia, na górze, dokąd szatan znów zmusi Jezusa, aby mu pokazać cztery krańce królestwa i mocarstwa tego świata, oraz rozsnuwa przed Jego oczyma ziemską potęgę i chwałę.

Człowiek każdy, posiadający w sobie jakąkolwiek energię, rozpatruje się otoczeniu, w którem żyje, a w sercu uczuwa żądzę założenia tu królestwa swego. Żądza panowania bowiem jest człowiekowi wrodzona, im wyższy, dzielniejszy umysł posiada, tem bardziej ona się w nim wzmaga. Gdzie większa siła, tam ona doraźniej się objawia. Jeśli ją człowiek trzyma w karbach — słuszną jest; lecz jeżeli granicę przekroczy, staje się grzechem, a nawet zbrodnią.

Ten nie rozumiałby posłannictwa Jezusa, kto śmiałby wątpić o tem, że Jezus miał wolę stanowczą i duchem mądrości Bożej kierowaną—pociągnięcia świata całego do nauki Swojej, skłonienia człowieczeństwa do posłuchu woli Bożej. Ale nie orężem zwykłym tę zdobycz wywalczy, jedno orężem Ducha; założy nie mocarstwo podobne do ziemskich, bo mocarstwo ziemskie tworzy najczęściej przemoc, podstęp, zdrada, ale założy Królestwo Niebieskie, które będzie dziełem wyzwolenia, prawości i spokoju

Przed wzrokiem Jezusa szatan rozsnuwa obszar swego, jak je nazwał, świat cały obejmującego królestwa, pochlebić Mu chciał i zarazem zatrwożyć. Pochlebia obietnicą grzesznej żądzy panowania; zatrwożyć zaś wskazaniem ogromu sił sprzecznych, które Jezus zwróci wrogo ku Sobie, jeżeli ich Sobie nie zjedna. Rozsnuwa kusiciel przed oczyma Jezusa błyski fałszywego Mesyanizmu, takiego właśnie, o jakim marzyli Żydzi; Mesyanizmu, którego urokowi wówczas ulegali nawet najrozumniejsi, najwykształceńsi, najpobożniejsi. Szatan za pomocą tych fałszywych blasków owładnął duszą Żydów — tej broni przeto i przeciwko Jezusowi użył. Mówi Mu:

— Patrz, jestem władcą, panem mocarzem! Wszystko to mogę dać, komu zechcę. Ale żeby taką osiągnąć potęgę, trzeba posiąść ducha mojego — ducha chytrości, samolubstwa, przemocy. Zawrzyjmy sojusz: upadnij na ziemię, ukorz się przede mną, złóż mi pokłon, a to wszystko dam Tobie.

Aliści Jezus nie ulega urokowi ziemskiej potęgi, ani się trwoży bezmiarem grożących Mu sił przeciwnych. Surowo, gwałtownie nawet odpycha kusiciela:

— Pójdź precz, szatanie! Napisano bowiem: „Panu Bogu twemu kłaniać się będziesz i Jemu Samemu służyć będziesz!“

Zna tylko Jednego Pana Jezus, przed Jednym tylko Bogiem upada na kolana, żadnego związku nie przyjmuje, tylko z Ojcem Swoim w niebiesiech. Najmniejsze ustępstwo dla szatana byłoby nieszczęściem dzieła zbawienia, którego cel najwyższy właśnie opiera się na wydarciu wszelkiej istoty wolnej z niewoli złego, a poddaniu jej niewoli jedynej, świętej, szczęśliwej, to jest — jarzmu posłuszeństwa woli Bożej.

Okrom Jezusa i tych, których Duch Jego prowadzi, broni i strzeże, nie było i niema człowieka, którył nie pokłonił się marnościom tego świata, duchowi kłamstwa, samolubstwa i podstępu. Podboje ziemskie są zawsze połączone z rozlewem krwi, na którym spoczywa pieczęć Bestyi, to jest onej mocy ciemności, co nad tym światem przewodzi. Szatan ludziom podaje się za Boga, zapewnia, że ci, którzy mu się pokłonią „będą jego bogowie!“ Marzenie to zdradne wszczepia w ludzkość od pierwszego człowieka i tym urokiem podbija świat. Zaiste, nader mizernym staje się człowiek, słuchający szatana, zamiast odtrącić go słowy Jezusa:

— Panu Bogu Samemu kłaniać się będziesz!

Pyszne jego samomolubstwo nikczemnieje w myślach swoich; mądrość jego staje się głupotą; potęga jego jest tylko chytrością i samowolą tyrańską; chwała jego marna; królowanie trwa krótko i złudnem jest, bo jak wynosił sam siebie, depcąc innych, tak zdeptani, prędzej czy później, poniżą go i zdepcą; wszystko to, co samolubnie, tyrańsko ujarzmił, uciemiężył, powstanie przeciwko niemu, aby wziąć odwet straszliwy. Oto jakie są dzieje człowieczeństwa ulegającego szatanowi. Dzieje one powtarzają się wciąż od wieków, szatan wciąż się buntuje, przeciwko dziełu Jezusa, a zachwiać go nawet nie może. Jezus tylko i dziś, jak po wszystkie wieki, daje uczestnictwo natury Boskiej tym wiernym Swoim, którzy, za Jego przykładem, odtrącają od siebie złe, a kłaniają się tylko Panu Bogu.

Prześlicznie i mądrze o pokusach szatańskich poucza złotousty nasz ksiądz Piotr Skarga. Mówi mianowicie: Mając nieprzyjaciel nasz, szatan, duchową i oczom cielesnym naturę niewidomą, rozmawiać z duszą naszą może i rozmawia tak, jako Anioł z Aniołem i duch z duchem czyni. Podał, nadmienia Ewangelista, dyabeł do serca Judaszowego, aby wydał Pana Jezusa. — A rzucić na nas, to jest na naszą duszę, może myśli jakie chce i jakich mu do grzechu, w którym ludzi prowadzi, potrzeba. I gdy mniemamy, aby one myśli nasze były, a one są jego, na które on upodobania, kochania i przyzwolenia prosi, aby przyzwolenie miawszy, do wykonania grzechu przywiódł.

Serce nasze ma jakoby cztery komórki; w jednej są myśli do złego, które nieprzyjaciel na nas miecie, i zmysły je też zwierzchnie nasze, i chęci niepożądne ciągnie; w drugiej mieszka kochanie w onych

myślach; w trzeciej przyzwolenie; w czwartej wypełnienie. Szatan, podając złą myśl, u pierwszych drzwi kołace, abyśmy oną złą myśl przypuścili, jak o Judaszu mówi Ewangelista: — Puścił szatan do serca Judaszowego, aby Pana zdradził. — Co gdy ma, wnet to do drugiej komórki wdziera, aby się człowiek w onej złej myśli ukochał; a zatem idzie do trzeciej, aby na zły uczynek przyzwolił i uczynić go postanowił. Gdzie już ma jaką gospodę, w której gospodarza niejako wiąże i prowadzi go do wykonania onego złego uczynku, aby się co rychlej wypełnił. Jako gdy Judaszowi do serca podawał, aby Pana swego zdradził, obiecując mu pieniądze: Judasz pierwej myśl oną przepuścił, w niej się ukochał, trzymając ją w sercu, potem na nią zezwolił i postanowił uczynić. A nakoniec szukał czasu i pogody do wypełnienia, a nalazłszy, wypełnił i zdradził. Toż się o innych wszystkich grzechach rozumie i o tem, gdy Panu Jezusowi do serca podawał, aby z kamienia chleb Sobie uczynił, aby się z ganku spuścił, aby świat i chwałę jego umiłował.

Kto mu się przeciwić mocnie chce, najłatwiej go u onych drzwi pierwszych bije, gdy mu w nich głowę kruszy, nie otwierając mu, ale wnet, jako na złodzieja i zdrajcę wołając: — Precz czarcie! I myśleć o tem nie chcę i tych drzwi ci nie otworzę. — Lecz gdy kto myśl przypuści, a pierwsze one drzwi otworzy, i kochać się w złej myśli pocznie, trudniejsze jest zwycięstwo. Bo za onem kochaniem, wkrada się nieprzyjaciel łacno i do trzeciej komory, i na on grzech przyzwolenie wyciągnie. I gdy się przez one trzecie drzwi przeciśnie, a serce do przyzwolenia przywiedzie, już człowieka prawie związał i do wypełnienia uczynku onego lada go kiedy wpędzi.

Potrzeba tedy zdrajcę u pierwszych drzwi bić i głowę kruszyć jego, bo tam jest najsłabszy. Wszakże i u drugich nic nie rozpaczać, przed się obaczywszy to i onem kochaniem zbrzydziwszy się, wymiatać go tem prędzej, zanim się do trzeciej komory dobędzie. I tam choćbyśmy przegrali, póki do uczynku nie przyjdzie, oprzeć się możem. Ale gdybyśmy już, uchowaj Boże, podlegli i śmiertelny grzech wypełnili, rozpaczać nie mamy, ale z łaską i pomocą Boską powstawać i znowu z nieprzyjacielem walczyć, a rany zadane leczyć i na nową się siłę z Najświętszych Sakramentów winni jesteśmy.

To się też na baczeniu mieć ma, iż czart rad się porozumiewa i omawia ze sługami, z domownikami naszymi, z ciałem i zmysły cielesnemi, i przez nie najprędzej nas zdradza, gdy jako domowników i własnej przyrodzonej czeladki nie strzeżem. Poda ciału to, co mu miło, i potrzebno, a wnet z potrzeby uczyni zbytek, i kochanie, i rozkosz, i zatem w grzech niebaczną duszę wprowadzi. Ujrzał, iż Pan Jezus postem ciało strudził, widział, iż łaknie, a jeść potrzeba, a ciało trwać

nie mogło: nalazł pogodę do pokusy, aby mu się Pan odkrył, iż jest Synem Bożym, aby nietylko chleba, ale i kosztownych potraw z kamiemienia sobie naczynił (bo Pismo wszystkie potrzeby w chlebie zamyka), a rozkosznie używał. I mówił Mu: — Co się zabijasz tym postem w kwiecie młodości? Czemu tem urodę anielską tracisz? Ciało masz i nie jesteś duchem, jeść i pić musisz, o grzech się mężobójstwem Swojem przyprawisz. — A to mówił chytro, nie zdrowia życząc, ale do rozkoszy i cielesnego kochania w pokarmach prowadząc.

Da takiej pokusy ciało wnet przystaje i cielesność nasza, i duszę chytro zdradza ten domownik, którego zawdy przy sobie nosim, a on wiary nigdy nam nie dotrzyma, a o sobie radzić, o duszy i tem, co jej pożyteczno, nie pamięta: przetoż się przestrzedz mamy. Naprzód, abyśmy ciału, gdy o swoich potrzebach z nami czyni, nie dowierzali, a zmowy się czartowskiej z ciałem i zdrady bali. Abyśmy potrzeby cielesne rozumem i powściągliwością miarkowali, zbytku i rozkoszy strzegąc, a osłowi temu do nieposłuszeństwa i rozpustności zwyczaju przez zbytni obrok nie dając. Bo tym sposobem ujdziem zdrady dyabelskiej, gdy niewolnika zwiążem, a rozmowy mu i porozumienia z nieprzyjacielem nie dopuścim.

Jest jeszcze tu chytrość szatańska. Od małych i jakoby nam potrzebnych rzeczy poczyna, a grubemi bardzo kończy; od chleba do bałwochwalstwa. Pierwej mówi: — Nabywaj chleba, bo bez niego żyć nie możesz — a potem: — Pokłoń mi się, a miej mnie za Boga. — To czyni z owymi, którzy ubóstwem ściśnieni myślą o nabywaniu, a nabywszy potrzebnej żywności, nie przestają na niej, ale na zbytki i marnotrawstwa się puszczają. I dla podparcia zbytków onych, aby im stawało, do niesprawiedliwych zysków i nabycia przychodzą, i na cudze się targają, a potem do zamiłowania pieniędzy, które sobie za bogi postawią, w nich wszystko serce, miłość, nadzieje zostawiając, czynią pokłon Boski szatanowi. Przetoż się w tem baczmy, abyśmy na początku, gdy się pomału wkrada ten chytry wąż, zbywać i znać myśli jego i zważać go umieli. Potrzebę od zbytku i chęci złej łacno rozeznać. Potrzeba na małem przestaje, ale chciwość wiele chce, a nigdy się nie ugasi. Inaksze ma pragnienie zdrowy, a inaksze opuchły. Zdrowy się wnet ugasi, a opuchły nie ma miary, ale zawżdy pić chce, by najwięcej wypił, i potem znać złą i śmiertelną niemoc jego.

Ojciec Didon w ten sposób kuszenie Pana Jezusa przez szatana objaśnia:

W tem Swojem potrójnem nad trojaką pokusą zwycięstwie, Jezus objawia moralną piękność Swoją, która jakby światłością otoczy krótkie Jego życie ziemskie i Jego posłannictwo. Postanowienia, któremi zwalczył na głowę szatana, są niewzruszone. Co wolą tak doraźnie odrzucił,

to jest odrzucone na zawsze. Trojakie ognisko pożądliwości, które w najlepszych nigdy doszczętnie nie wygasa, do duszy Jego najmniejszej iskierki nie rzuci. Syn Boży w człowieczeństwie Swojem nigdy nie ulegnie żądzom zmysłowym, nigdy ku ich zaspokojeniu nie użyje Boskiej mocy Swojej. Zniesie głód, trud, ból i śmierć, nigdy nie będzie prosił Ojca o ulżenie przeznaczonego Mu brzemienia; nie będzie kusił Boga; nigdy nie okaże się po Nim żaden taki postępek, którego celem byłoby pochlubienie się przed ludem Boskiem Swojem Synostwem. Żądać będą od Niego takiego znaku z nieba, lecz On odrzuci to żądanie, jako poduszczenie szatańskie i słowem stanowczem, a tajemniczo poważnem, odeśle ciekawych do znaku przyszłej śmierci i zmartwychwstania Swego. Dopóki ta chwila uwielbienia Jego nie nastąpi, poprzestanie na zwykłych życia ludzkiego warunkach, a jeśli kiedy na chwilę od nich odstąpi, nie uczyni tego nigdy w celu własnego zadowolenia, dla doświadczenia czuwającej nad Nim szczególnej opieki Ojca, ale jedynie w celu skłonienia ludzi do wiary, w celu oświecenia błądzących, uzdrowienia chorych, zbawienia wszystkich. Nie będzie zuchwale narażał życia Swego, owszem będzie je chronił, jak to jest obowiązkiem każdego człowieka, wszelkiemi sposobami godziwej i należnej roztropności. Pokorny i cichy, nie będzie się unosił zarozumiałem ufaniem, będzie się uchylał od gorszącego niebezpieczeństwa i ucieczką chronił od nastających nieprzyjaciół, wówczas dopiero oddając Siebie w ich ręce, gdy wola Ojca tej od Niego powinności zażąda. W ustanowieniu Królestwa Swego i w wykonaniu sprawy Mu zleconej, bez miłosierdzia zdepce wszelką żądzę wielkości ziemskiej, nie zważając na uprzedzenia ludu Swego, ani na trwożliwość uczniów Swoich, ani na rady mądrości ludzkiej. Jako pracuje nad utworzeniem Królestwa Bożego, tak też Bogu Samemu kłaniać się będzie.

Lecz z drugiej strony, złe także, i wszystka natura, i Jego duch, jaskrawo się ujawnia w tej znamiennej chwili życia Jezusa. Każdy jasno poznać stąd może, z jak groźną siłą mierzyć się musi, aby wypełnić Swoje na ziemi posłannictwo.

(D. c. n.)





Obraz mozaikowy Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej, ukoronowany w Rzymie przez papieża Piusa IX 8 grudnia 1854 r.

DO NIEPOKALANEJ...

Choć od wieków już byłaś bez zmazy poczętą,
I od wieków czystą, i od wieków świętą,
I od wieków na Niebios Królowę wybrana,
Panienko śliczna i Niepokalana,
To jednak ta prawda, co aż bije w oczy,
Co od słońca złocistych jaśniejsza przezroczy,
Dopiero pół wieku za dogmat jest dana,
Żeś bez grzechu poczęta, o, Niepokalana!...
Tyś krzak Mojżeszów, którego promienie,
Już w pomroce dziejów rozpraszały cienie,
Tyś Różdżka Aaronowa, z której cudne kwiecie
Na zbawienie ludzkości zakwitło na świecie.
Ty Brama jesteś rajska, przez którą do Boga,
Najłatwiejsza, najprostsza, jest z tej ziemi droga.
Tyś Wieża Dawidowa i Kolumna wiary,
Której nikt ze śmiertelnych nie dosięgnął miary.
Tyś Obłoczek miłością gorejący wiecznie,
W którego płomieniach żyć można bezpiecznie.
Tyś Arka Przymierza, co bez przerwy splata,
Miłosierdzie Boże z nędzą tego świata.
Tyś Jutrzenka ranna, co od pierwszej zorzy,
Aż do końca wieków świt roznieca Boży.

Tyś jest Gwiazda morska, co w burzliwej toni
Każdego swoim płaszczem macierzyńskim słoni.
Tyś Cudny Przybytek Wcielonego Boga,
Tyś Ucieczka grzeszników i nadzieja błoga.
O, Czysta Panienko, z niebieskich przezroczy,
Zwróć na nas biednych litościwe oczy,
I Bożej miłości, chociaż po iskierce,
Wrzuć w każde ludzkie, uciśnione serce.
Miłując się wzajem, ukochamy Ciebie
I Ojca naszego, który mieszka w Niebie.

L. M.



Bogarodzica naszą Matką.

Marya na Kalwaryi.

Rozważając powody, dla których niezbędnem było dobrowolne zgodzenie się Maryi Panny na zostanie Matką Wcielonego Słowa, dopatrzyliśmy, iż jeden z ważniejszych opiera się na naturze związku zawartego w tej tajemnicy pomiędzy Bogiem a człowieczeństwem. Potrzeba było zgody dwóch stron, działać mających w jednym celu, — nikt zaś godniej w tym razie od Maryi nie mógł być rzecznikiem ludzkości pragnącej wydobyć się z toni grzechu.

Na Kalwaryi miało się wypełnić wszystko, co zamierzonem było w tajemnicy wcielenia. Męka Syna Bożego miała na celu odrodzenie rodzaju ludzkiego i założenie nowej społeczności Chrystusowej — Kościoła Chrystusowego, o czem ś-ty Paweł tak pisze do Efezów: Jezus Chrystus umiłował Kościół i samego siebie wydał zań, aby sam sobie wystawił Kościół chwalebny, nie mający zmazy. [1]) Tenże Apostoł wszystkim, łączącym się związkami Sakramentu małżeństwa, stawia za wzór Chrystusa Pana dla Kościoła, i mówi: „Mężowie, miłujcie żony wasze, jako Chrystus umiłował Kościół".

Chrystus Pan, jako niebiański Oblubieniec ludzkości, oblubienicy swojej niesie pełność darów—czyli łask Bożych, okupionych nieskończonej ceny ofiarą, bo śmiercią krzyżową.

Najświętsza Marya Panna nie mogła być nieobecną narodzinom Kościoła — więc wtedy, kiedy Jezus stwierdzał przymierze zawarte pomiędzy niebem a ziemią, Matka Boża i Matka nasza stała pod krzyżem, odnawiając w sercu swojem toż samo przyzwolenie, jakiego od niej domagał się Anioł Gabryel w dniu, kiedy Słowo Ciałem się stało.

---

[1]) Ephes. 5,25.

Malarze chrześcijańscy z dawniejszych czasów, zwykli na obrazach swoich umieszczać pod krzyżem dwie niewiasty. [1]) Jedna z przepaską na oczach, ma ona przypominać zaślepienie synagogi żydowskiej, która w osobie Chrystusa nie chciała uznać obiecanego Mesyasza. Druga podnosi w górę czarę, do której z ran Ukrzyżowanego sączy się krew obficie—wyobraża ona Kościół. Niewiastą oną jest Najświętsza Marya Panna. W tajemnicy wcielenia, ludzkość przez Maryę obdarzyła Pana Jezusa krwią — na Kalwaryi przez Maryę odbiera też samą krew, ale ona obmywa wszystkich i staje się zadatkiem zbawienia.

Jakże niewyczerpane źródło mądrości i miłości Boskiej!

Wszystkie łaski zstępują na nas z krzyża, wszelkiego postępu w doskonałości zaczątek i koniec w krzyżu: „potrzeba było, aby to cierpiał Chrystus i tak wszedł do chwały swojej“. [2])

Regułę, której się trzymał Pan Jezus wskazuje uczniom swoim — chrześcijanom, jeśli jesteśmy synami, będąc i dziedzicami, dziećmi Bożemi, a społu i dziedzicami Chrystusowemi. Jeśli wespół cierpiemy, abyśmy byli uwielbieni.“ [3])

Wszelka zasługa, wszelka chwała, powtarzamy, mają swój początek i wzrost w krzyżu, jaki Chrystus dźwiga — w zjednoczeniu się z Nim na drodze krzyża.

Jeżeli Najświętsza Marya Panna miała zostać naszą Matką, po Panu Jezusie być rozdawczynią łaski, powinna też była przyjąć największy udział w Jego cierpieniach i z Synem swoim krzyż nosić.

Jezus, prawdziwy Syn boleści — Marya, prawdziwie bolesna matka — duchowe macierzyństwo wiodło także Maryę na Kalwaryę.

Gdyby Chrystus nie był wstąpił na górę krzyżem obciążony i nie zawisł na nim — nie byłby wszystkich pociągnął ku sobie; — i Marya nie byłaby Matką cierpiących, gdyby współbolejąc, nie dzieliła męki z Jezusem.

Bogarodzica, jako Matka nasza ma też być wzorem życia oddanego Bogu. — Czegóż najpierw pouczyć się mamy? Oto każdy z nas umieć powinien kochać Chrystusa i tego Ukrzyżowanego!

Usuńmy z żywota Maryi kartę opowiadającą nam co wycierpiała, dzieląc mękę Syna, czyż będziemy się umieli pogodzić z tem wszystkiem, co w życiu znieść przychodzi? Któżby śmiał uchylać się od znoszenia krzyżów, jeżeli Matka Boża i matka nasza tak srodze udręczoną

---

[1]) Do tegoż rodzaju symbolów należy odnieść figury Matki Boskiej Bolesnej — gdyż wedle podania zdjęte z krzyża ciało Chrystusowe Najświętsza Marya Panna przyjęła na łono swoje.

[2]) Luc. 24,25.

[3]) Rom. 8,17.

była! W szkole tej matczynej, najlepiej nauczyć się możemy cnoty cierpliwości, poddania się woli Bożej, a wreszcie całkowitego poświęcenia siebie i dla chwały Boga i dla dobra bliźnich!

Czyż ośmielę się szemrać przeciwko Opatrzności — czyż mogę oburzać się na nieprzyjaciół i układać zemstę, jeżeli mam przed oczyma Maryę, stojącą pod krzyżem?

Z całym spokojem znosi mękę i razem z Jezusem wstawia się za wspólnymi prześladowcami swymi.

Kiedy ponęty świata wciskają się do serca naszego, wspomnijmy sobie na gorzkie łzy Maryi — matki naszej.

Kiedy chromasz na drodze sprawiedliwości — złe przykłady i pokusy wiodą cię do występku i grzechu, nie zapominaj o Maryi stojącej pod krzyżem. — Nieszczęsny, cóż uczynić zamierzasz? Czy chcesz znowu Chrystusa krzyżować? Pragniesz, żeby Marya znowu oglądała Syna swojego, cierniem zranionego, oplwanego, jako był naigrawaniem ciemnej i spodlonej tłuszczy?

O, wspomnijmyż sobie na wzdychania Maryi — niechże nam wystarczy Jej boleść okrutna — nie wznawiajmy jej bezlitośnie!

Jeżeli w zamiarach Bożych leżało, aby Marya była miłosierną dla nas opiekunką, to naznaczenie ono wymagało, żeby uczestniczyła w krwawej ofierze Syna swego.

Nie zapominajmy, że Pan Jezus na Kalwaryi stał się onym Kapłanem miłosierdzia, jakiego nam potrzeba było dla zleczenia nędzy naszej — i Marya doświadczywszy sama wszelkiego rodzaju cierpień, tem snadniej dotkliwość ich ocenić może.

I każdemu z większą ufnością i śmiałością przychodzi szukać pomocy u tego, który szedł tąż samą drogą, jaką i my przechodzić musimy — aniżeli u tych, których los, podług naszego mniemania, od wszelkich zwolnił smutków.

Posłuchajmy jeszcze jednego z objaśniaczy ksiąg świętych: Marya, stała pod krzyżem, pisze Salmeron, żeby otrzymała łaskę, któraby ją chroniła od grzechu, łaskę, z mocy której była Matką i dziewicą razem, łaskę, jaka z niej szczególniej w ostatnich czasach uczyniła — podporę i protektorkę Kościoła... Marya pod krzyżem wysłużyła sobie łaskę, iż zakończyła swój żywot cicho i błogo — że do nieba z ciałem i duszą wziętą została, a tam nad chóry anielskie wyniesiona — Królową nieba i ziemi postanowiona — wysłuchuje próśb naszych, jakie do niej z tego padołu płaczu zanosimy — Marya stojąca pod krzyżem wszystkich nas pod krzyż wiedzie i ukazuje nam źródło — skąd wszelkie dobro duchowe wypływa. [1])

---

[1]) Alph. Salmeron. Comm. in Ewang. histor. t. X p. 342.

Takie były powody, dla których Najświętsza Marya Panna towarzyszyła Synowi swemu w męce na Kalwaryi — ponieważ Bóg przeznaczył Ją na matkę wszystkich, za których Jezus Chrystus Syn Boży dał się umęczyć, a którym On sam raczy ojcowską świadczyć miłość.

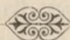
* * *

Marya pod krzyżem stała... Wiemy już, że Bogarodzica nie mogła uchylić się od drogi krzyżowej, po której wstępował Pan Jezus na Kalwaryę, uczestniczyła w ofierze, jaką niejednokrotnie ponawiała w sercu swojem i to już starczyłoby na usprawiedliwienie, dla czego mianujemy Maryę Nową Ewą, tak jak Chrystus nowym stał się Adamem czyli Ojcem żyjących. Pomimo to wszystko pełność obrazu wymaga, abyśmy głębiej wniknęli w tę wielką tajemnicę miłości. Jeżeli Marya uczestniczyła w ofierze Najwyższego Kapłana, musiała w zupełności z Nim współcierpieć, tak samo, jak Ewa uczestniczyła w występnej uciesze, która nas zgubiła.

Potrzeba też było, aby przepowiednia starca Symeona spełniła się w całej rozciągłości: Oto ten położon jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą i duszę twą własną przeniknie miecz. [1])

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



[1]) Luc. 2,34.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Noc już była, a Miller ucztował jeszcze, gdy mu znać dano, że gromada Polaków z krzykiem do jego kwatery dąży. Uśmiechnął się i mruknął:

— Wpuścić ich. Pewnie sobie podochocili i chcą mojem winem dokończyć za zdrowie Karola Gustawa.

Rzuciwszy okiem na starszyznę polską, odrazu poznał, że nie o wiwaty idzie. Komorowski począł prosto z mostu:

— Jenerale! czy to prawda, żeś zakonników jasnogórskich na śmierć zadekretował?

— Jakiem prawem pytacie mnie o to? — zawołał butnie Miller.

— Prawem ludzkości! Prawem obietnic Karola Gustawa! — rzekł Komorowski dobitnie. — To szlachta i bracia nasi. To więcej, to kapłani naszej wiary, której przyrzekliście cześć i opiekę!

— To są buntownicy! — wrzasnął jenerał.

— To są posłowie! — poprawił Zbrożek i jako tacy szanowani być powinni.

Miller gniewem parsknął:

— Wy? Wy mnie będziecie uczyli, co mam czynić? Podwładni moi?

— Mości jenerale — huknął Komorowski — to nie Szwecya i nie wasze regularne wojska, ale szlacheckie, w których się łączy siła orężna z przedstawicielstwem narodu. Mamy prawo spytać, co robisz, boś na placu boju tylko wodzem naszym. Jeśli dopuścisz się gardła na mnichach, odstąpimy cię wszyscy!

— Przysięgliście... — mruknął z tropu zbity Miller.

— Zmuszeni, ale nie dobrowolnie. Zresztą, czy wy nie łamiecie przysięgi, słowa Karola Gustawa, który przyrzekł szanować prawa nasze? A prawo nie dozwala u nas władzy świeckiej tknąć kapłana! Zapowiadamy ci, jenerale, że nie pozwolimy obwiesić zakonników, chociażby do rozprawy orężnej przyjść miało. Wieszając ich, powiesisz sprawę swego króla, a żaden z nas z pewnościa odcinać jej nie będzie.

To rzekłszy, Komorowski, nie skłoniwszy się nawet, wyszedł, za nim szlachta. Miller śmiać się usiłował, ale był to śmiech gorzki. Przekonał się, po niewczasie, że zadaleko zabrnął, a wstyd było się cofać. Książę heski zapytał z cicha:

— Cóż jenerale? Jak się to skończy?

— Powieszę ich! — fuknął uparty Szwed.

— Chyba nie, bo to istotnie postawiłoby nas w położeniu fatalnem.

— Powieszę, nie cofnę się. Polaków się nie boję, u nich wszystko w gębie. Znam tych krzykaczy. Powrzeszczą i... ucichną.

— Ba! czasem oni nietylko wrzeszczą, ale i biją — zauważył Sadowski.

— Do pioruna! teraz wszyscy gardłujecie za uwolnieniem mnichów, a czemuż dawniej nikt mi tego nie doradził? Pierwszy Weyhard ten dekret mi podsunął, jako na Polaków najlepszy.

Książę heski, który na równi z wieloma innymi Weyharda nie cierpiał, usta odął pogardliwie.

— Jenerale — szepnął — do tej pory powinieneś się już przekonać, co warte rady hrabiego...

— Ależ cofać się nie mogę — mruczał Miller. — Polacy się wykrzyczą i, jak zawsze, umilkną.

— Trafia się i tak — rzekł książę heski — lecz do ostateczności ich doprowadzać, to niepolitycznie.

— Jeżeli wieść o tem gruchnie — dodał Sadowski — a niechętni szybko ją rozniosą, cały naród przeciwko nam się zwróci. Już to nieszczęśliwe oblężenie popsuło sprawę naszą, a cóż dopiero krok taki?

Od czasu wkroczenia naszego, zmieniły się serca i umysły Polaków dla nas.

— Ale czy podobna, żebym tak odrazu się cofał? — huknął zniecierpliwiony Miller, — Zresztą... radźcie, jak to do dyabła urządzić?

Nikt się z radą nie kwapił — wodzowie jeden po drugim wymykali się z namiotów.

Nazajutrz zbudził się Miller zafrasowany; w nocy, rozważając, do przekonania przyszedł, że książę heski i Sadowski mają słuszność. Lecz jakże się tu cofnąć? Szubienicę ogromną, naprzeciwko klasztoru, już poczęto wznosić...

Miller zapytał, co robią Polacy? Cały obóz polski był pod bronią, na koniach, zdawał się w milczeniu oczekiwać na coś. Szwedzi podchodzili, zapytywali — nikt do nich słowa nie rzekł. Na przodzie wodzowie w zbrojach i hełmach, za nimi towarzysze i czeladź, stali w pogotowiu...

Stary jenerał zasępił się. Posłał do klasztoru z żądaniem, żeby się poddawano; odebrał odpowiedź, że dopóki posłowie nie wrócą, klasztor traktować z nim nie będzie. Zamyślił się, kazał wykonanie wyroku odłożyć. Zaraz potem starał się dekret w żart obrócić, a w południe... zaprosił zakonników do swego stołu. Odmówili stanowczo. Ojciec Małachowski dodał przytem:

— Nie godzi się, aby skazani na szubienicę przestępcy zasiadali do stołu z jaśnie wielmożnym jenerałem...

Miller skrzywił się, przełknął tę odpowiedź i dłonią machnął. Dowiedziawszy się, że Polacy już z koni pozsiadali, odetchnął, jeść podawać rozkazał. Lecz żaden ze starszyzny polskiej, oprócz Kalińskiego, nie dzielił z nim dziś biesiady, więc obiad przeszedł posępnie. Po obiedzie oficerowie otrzymali polecenie, żeby twierdzę otaczać i opasywać, ponieważ zakonnicy bronić się i ostrzeliwać nie mogli z racyi groźby, iż w takim razie posłowie natychmiast zginą.

Jakoż Szwedzi zarzucali fosy i stanowiska coraz bliższe zajmowali, ale strzelać nie ważyli się jakoś.

Ten stan zawieszenia niebezpieczeństwa, acz krwi oszczędzał, cięższy był dla oblężonych do zniesienia, niż walka dni poprzednich. Trzeba było w milczeniu słuchać obelg Szwedów, patrząc na ich postępy w dodatku.

Czarniecki nie mógł znieść tego widoku—uciekł z murów; Zamoyski chodził z zaciętemi usty, wrzący gniewem; wszyscy, zakonnicy nawet, czuli gorącą ochotę boju. Widok szubienicy, o której przeznaczeniu wiedziano, jątrzył i oburzał. Trocha wprawdzie rozjątrzenie osłabło, gdy przybyły z obozu poseł, z żądaniem poddania twierdzy, oznaj-

mił też, jako spełnienie dekretu odłożono. Kordecki jednak odpowiedział po dawnemu:

— Niech nasi posłowie zdrowo i cało wrócą, a potem — zobaczymy.

Z południa Czarniecki wyjrzał na mury i aż się wzdrygnął, bo prawie pod samemi fosami zwijało się żołdactwo szwedzkie i coraz to się który przymierzył strzelbą do załogi, jak do wróbla, lub kamienie ciskał, a przytem lżyli, naigrawali się z wizerunku cudownego, z zakonników, z wiary katolickiej. Wreszcie pijany jeden Szwed wypalił z muszkietu, a kula świsnęła tuż koło ucha Czarnieckiego. Tego było za wiele dla jasnogórskich — dali z dział ognia całą linią. Kordecki z Zamoyskim natychmiast nadbiegli.

— Na Boga, co robicie?! — zawołał przeor. — Wszak rozejm?

— Taki rozejm! — odparł jeden z puszkarzy, Polak. — Sami, psie wiary, poczęli i owo ledwie nam pana Czarnieckiego nie zmietli. Bezkarnie zabijać im się nie damy...

Nie było rady. Czarniecki już się zwijał po swojemu, działa, śmigownice i organki z murów pluły ogniem. Szwedzi, nagle przepłoszeni, zmykali, aż się kurzyło, trąby grały hasła, — w obozie wszczął się zamęt straszny.

Miller, usłyszawszy strzelaninę, rozjadowił się strasznie i zaraz chciał wieszać posłów, lecz wstrzymał się, bo Polacy też zaraz wsiedli na koń. Po chwili ogień ustał, do Millera z klasztoru przyniesiono pismo, w którem Kordecki objaśniał przyczynę zerwania pokoju. Skarżył się mianowicie: „Posłów więzicie, rozejmy zrywacie zdradą, podkradacie się pod mury — przeto czy możemy w takim stanie rzeczy traktować z wami? Co ręczy za dochowaniem warunków, gdy wszystko, uświęcone przez zwyczaj i prawo, depcecie? Traktuje się z dotrzymującym po rycersku danego słowa nieprzyjacielem, ale nie z takim, który, gorzej Tatara, wszystkie umowy gwałci.“[1]

Zmarszczył się Miller odczytawszy wymówki, śledztwo zarządził, sprawcę zerwania rozejmu ukarał. Po rozmyśle przyznał, że taktyka jego złe przynosi owoce. Zakonnicy zyskali na oczyszczeniu góry z dokuczliwych natrętów, bo Szwedzi pierzchnąwszy w dolinę, całą noc w trwodze przepędzili. Działa burzące z Krakowa nie nadchodziły, polowe niewielką były pomocą, traktowania i groźby pozostawały bez skutku. Trza było innych środków się chwycić.... Wezwał tedy Miller na naradę starszyznę, ale bez Weyharda, do którego zaufanie stracił, a Sadowski podsunął mu myśl uwolnienia zakonników.

— Więcej tym sposobem zyskamy niż groźbą — mówił. — Właśnie strach i obawa okrucieństwa z naszej strony oporność twierdzy utrzymują. Obchodźmy się z nimi po ludzku, a zmienią się.

Książę heski poparł tę radę. Weyhard, który niewołany się zjawił, oponować zaczął, wołał:

— Ależ w ten sposób zgubimy sprawę!

Miller odparł szorstko:

— Nie proszę hrabiego o zdanie.

Ojcowie Błeszyński i Małachowski siedzieli na suchym pniaku wśród żołdaków, oczekując śmierci. Tak onej byli pewni, że wzajem się wyspowiadali. Zaproszenie do stołu przyjęli, jako szyderstwo nieludzkie. Żołnierz szwedzki, w którym rycerskiego ducha nie było, który nie umiał odczuć wielkości tych mężów, w prostocie gotowych na męczeństwo, idących chętnie na śmierć, pokoju im nie dawał. Więc tłoczyli się dokoła nich żołdacy, popychali ich, śpiewali piosnki ohydne, bluźnili Panience Najświętszej; to znów targali ich za kaptury, za skaplerze, obrzucali grudkami ziemi, przysuwali do twarzy płonące pochodnie, rzekomo dla ogrzania. Oni to wszystko znosili w milczeniu, z poddaniem, pokornie, jak na bohaterów Chrystusowych przystało.

Tak zastał ich Sadowski. Mniemali, że przychodzi prowadzić ich na śmierć. Ale Sadowski wąsa podkręcił i rzekł wesoło:

— Z dobrą wesołą nowiną.

— Nie szydź, mości pułkowniku! — przerwał Ojciec Małachowski. — Życie weźcie, ale nie dręczcie ducha; to męka gorsza śmierci.

— Nigdy nie szydzę — rzekł poważnie Sadowski. — W rzeczy samej przychodzę wam oznajmić, iżeście wolni. Jenerał Miller wybacza wam upór i szyderskie traktowanie wasze, które było jakby dziecinną igraszką. Idźcie, powiedzcie Kordeckiemu, niech podda twierdzę, niech nie jątrzy silniejszego nieprzyjaciela.

Ojcowie skłonili się w milczeniu i niezwłocznie opuścili obóz.

Przechodząc tuż przy strzaskanej kulą klasztorną szubienicy, która dla ich męczeństwa była przygotowana, wzięli każdy po drzazdze z niej, na pamiątkę niemal cudownie uniknionej śmierci.

W klasztorze przyjęto ich, jak męczenników i bohaterów. Piękna to była chwila, gdy po doznanych cierpieniach, radosne okrzyki poczciwych towarzyszów witały zwycięsców i musiało w nich zadrżeć serce ludzkie, choćby nie biło światu i dumie, bo w tych okrzykach brzmiał głos Boży. Kordecki przemówił na wstępie:

— Naprzód przed ołtarz naszej Orędowniczki!

Tak ich powitał przeor, gdyż zawsze powtarzał wszystkim:

— Módlcie się, by prosić; módlcie się, by dziękować; módlcie się, gdyście cierpieli i gdy cierpicie; módlcie się, wierzcie, pracujcie. Zawsze się módlcie usty, czynem, sercem, myślą, życiem całem...

Niebawem przed cudownym wizerunkiem brzmiała Litania Loretańska.

Nazajutrz po uwolnieniu zakonników, poseł posła gonił do klasztoru. Miller, wzamian za okazaną łaskę (tak nazywał darowanie życia uwięzionym Ojcom), domagał się poddania twierdzy. Kordecki odpowiadał:

— Naradzi się zgromadzenie, prosim o cierpliwość.

W południe wysłał do Millera z prośbą, aby pozwolił dwom zakonnikom udać się do Karola Gustawa, znajdującego się wówczas w Mogile pod Krakowem, a to celem wyproszenia u niego dogodniejszych warunków. W gruncie rzeczy przeorowi szło o zwłokę, gdyż każdą godzinę uzyskaną za wielkie zwycięstwo poczytywał.

Miller odmówił. Tłómaczył się, że jest upełnomocniony do traktowania z klasztorem; nadmienił, że gdy traktat podpisany zostanie, obowiązuje się dostarczyć zakonnikom potwierdzenie króla. Taką odpowiedź klasztorowi przyniósł Kaliński, którego w definitarzu przyjęto. Pan starosta wciąż rolę przyjaciela klasztoru i dobrego Polaka odgrywał. Perswadował tedy:

— Szaleństwo, obłąkanie jakieś na was spadło. Opieracie się, dzięki łagodności Millera, dłużej niż Kraków, chociaż z tak małą garścią i w tak mizernem umocnieniu... Czy to nie dosyć? Wyglądacie posiłków, ale skąd? Może tatarskich? Denhoff i Wolf już w ręku króla szwedzkiego, cała Polska mu się poddała; ci jedni tylko mogli wam przyjść z pomocą. Wojsko kasztelana kijowskiego rozpierzchło się przerażone, działa pozabierane, żołnierz wylękły... Miller jedynie dla waszego dobra skłania się traktować, ale się śpieszcie, bo (mówię to w zaufaniu) gdy z Krakowa działa burzące nadejdą, zniknie wszelka nadzieja układów... Mniemacie, że wszędzie zwycięski Szwed tu utknie, stąd odstąpi sromotnie? Weźcie na rozum, czy to być może...

— Mości starosto — rzekł Zamoyski — Rzeczpospolita jeszcze się nie opamiętała...

Ale Kaliński przerwał ostro:

— Mości Zamoyski, tu nie sejmik, żeby słowy szermować i gębą bić króla szwedzkiego. Jam także Polak, dbam o kraj i jego losy, a przecież, widząc stan i położenie, udałem się pod protekcyę Karola Gustawa. Porzuć waszmość złe i zgubne rady, któremi to miejsce święte o zagładę przyprawisz, któremi bałamucisz łatwowiernych zakonników. Czy waszmość możesz ze swej szkatuły powrócić szkody, jakie wojsko szwedzkie zgromadzeniu i szlachcie przy zdobyciu twierdzy uczyni? Szkody one, na kilka mil dokoła sięgające, przywrą do waszego sumienia. Czy zdołasz waszmość siłami własnemi nieprzyjaciela odeprzeć?

Czy chcesz mieć na sumieniu krew tylu ofiar twoich rad płochych, bo gdy się żołnierz rozzuchwali, sukni, stanu, wieku, płci patrzeć nie będzie. Innej, mości mieczniku sieradzki, rady szukaj, a najdź ją rychle, póki Szwed się nie rozjuszy. Tylko dziś traficie z nim jeszcze zgodą do końca.

Chciał Zamoyski staroście takim samym tonem odpowiedzieć, ale Kordecki go za rękę ujął i przerywając, rzekł:

— Wszystko, coś powiedział, mościwy starosto, wiemy dawno, waszmość zaś wiedz, że aczkolwiek wielce rady pana Zamoyskiego szanujemy, to jednak największym doradcą naszym jest Pan Bóg i Matka Jego. Do Nich więc za upór nasz zwróćcie wymówki swoje, jeśli chcecie, a o nasze dobro nie frasujcie się tak bardzo.

W tej chwili do definitarza wszedł Brat Paweł, furtyan i podał Kordeckiemu jakieś pismo. Okazało się, iż Miller przysyłał list Wittemberga. Wódz naczelny Szwedów tym kształtem do zakonników przemówił:

— „Wielebni, Pobożni, Uczeni i Najukochańsi Panowie Przyjaciele!

Ponieważ uwiadomiony zostałem przez pana jenerała Millera (któremu Jego Kr. Mość, mój Pan Najłaskawszy, szczególnie polecił udać się ze swojem wojskiem ku klasztorowi Częstochowy, miejsce to załogą osadzić, i pod opiekę a protekcyę Jego Kr. Mości przyjąć) jak się Ojcowie Wielebni zachowaliście, podczas przybycia jego i w niczem nie ustępując, otwarcie toczyć z nim wojnę postanowiliście, mimo rozkazu i woli królewskiej; chcę z tego powodu przestrzedz Wasze Wielebności tem pismem, abyście od uporu na przyszłość ustąpili i nie sprzeciwiali się więcej panu jenerałowi Millerowi, lecz dla Waszego większego dobra zechcieli chętnie przyjąć tych na załogę, których Najjaśniejszy Król tamże przeznaczył. Przeciwnie, jeżeli nie zaniechacie uporu i nie zechcecie ulegać wspomnianemu panu jenerałowi, bądźcie przekonani, że surowa Was czeka za to kara, którąby i dla innych mogła posłużyć za przykład. Winę zaś tego sami sobie przypiszcie. Niniejszem polecam Was Bogu. W Krakowie, 21 listopada 1655 r. Waszych Wielebności prawdziwy przyjaciel — *Arfuid Wittemberg*, ręką własną.“

Chwilę myślał nad tem pismem przeor, potem rzekł do Kalińskiego:

— Przecieżem oddawna do traktowania się skłaniał, czemu je barbarzyńskiem postępowaniem zerwał Miller?

— Ale kto go rozdrażnił, rozjątrzył? — zagadnął Kaliński.

— Chyba pokora nasza...

— Chyba podstępy, księże przeorze!

Wtedy Zamoyski fuknął groźnie:

— Do kogo to stosujesz, mości starosto? Podstępów jeno Szwedy i ich zwolennicy zażywają!

— Ha! nie mam tu co robić — rzekł starosta — postępujcie, jak rozumiecie, lecz pamiętajcie, że Miller nie przebaczy zwyciężonym, a zwyciężyć musi.

Wyszedł, a przeor w celi swojej zasiadł pisać nowy list do Millera.

Kaliński, do obozu wróciwszy, swoim zwyczajem przechwalał się, iż strachu zakonnikom napędził tak, że jeno patrzeć, jak w pokorę uderzą.

— Zaiste, bobu im dałem! — mówił. — Wyłajałem przytem Zamoyskiego, bo to on wszystkiego sprawcą i doradcą.

— A nie bałamucisz waszmość? — zagadnął Miller.

— Skądże przypuszczenie takie?! Wierzcie: wylękli są, przerażeni, głodni, ledwie duch w nich. Jeden Zamoyski, ponieważ wie, czem dla niego pachnie kapitulacya, junakuje i ze strachu gotów się bić; ale go chyba zwiążą i nam wydadzą, sami zaś prosić będą zmiłowania.

Kończył te słowa, gdy kartę przeora przyniesiono. Miller szybko ją okiem przebiegł, nasępił się i krzyknął:

— Ależ to drwiny! Znowu żądają zwłoki...

— Nie do wiary! — mruknął Kaliński. — Po moich przekonywawaniach, perswazyach...

— Czytaj waszmość sam — rzekł Miller. — Piszą, że im załoga wystarcza, a nowej nie potrzebują (jakbym ja ich pytał — z czem im lepiej! Krętacze...). Przytem miły dodatek, że naszego wyznania ludzi, a nawet katolików, którzy przeciwko Jasnej-Górze służyli, wpuścić do klasztoru nie mogą. Wykręt papieżników! Zasłaniają się świętością... Ale dosyć komedyj, jutro szturm do klasztoru.

Wstał, wydał rozkazy, nie odpowiadając na list przeora.

Weyhard, pierwszy tej wyprawy doradca, znalazł się teraz w położeniu bardzo niemiłem: musiał znosić wszystkie gniewy Millera, cokolwiek wojsko ucierpiało, jemu winę stary jenerał zarzucał. Każda jego obietnica zwodną się okazywała; czas upływał, grudzień się zaczynał, z nim mrozy dokuczliwe, pora nie do wojny. Trzeba było kończyć rzecz zaczętą (jakże odstępować ze wstydem?) a tu twierdza siłą zdawała się nie do wzięcia, bo działa polowe nie wystarczały, Polacy zaś nie chcieli w oblężeniu pomagać.

Według wszelkich reguł sztuki wojennej i rachub ludzkich, taka marna twierdza, jak Jasna-Góra, już dawno poddać się winna, mimo

to stała niezdobyta, nienaruszona, a nikt zrozumieć nie mógł, jakim sposobem. Przestrach zabobonny, zniechęcenie, znużenie ogarniały Szwedów. Sporo przyczyniły się do tego opowieści Polaków. To, co mówili o świętości i sile Jasnej-Góry, Szwedzi uważali za czary, a czary w owym wieku straszniejszemi były niż Bóg. Ludzie przestawali już wierzyć w Boga, ale bali się jeszcze czarów. Sam Miller, chociaż się do tego nie przyznawał, już coś rozmyślał o czarach, bo pojąć nie mógł, żeby bez nich, garstka ludzi starych, słabych, znużonych, wylękłych, osamotnionych, stawić mogła czoło potężnemu wojsku.

Nazajutrz z rana zagrzmiały działa, Szwedzi otoczyli mury, bomby pędziły na klasztor. Jasnogórscy, niespodzianie zbudzeni, zmieszali się nieco. Lecz Kordecki był gotów. Usłyszawszy pierwszy wystrzał działowy, wybiegł na mury z krzyżem w ręku, przeżegnał nim twierdzę, obszedł swoich, a przekonawszy się, że kule szkody nie czynią, kazał jeno do bliżej podstępującego nieprzyjaciela strzelać ze szmigownic i organków, wielkich dział nie tykając.

— Patrzcie, dzieci moje — mówił — jak Matka Boska szatą swoją nas osłania. Oto kule nad głowami naszemi lecą bez szkody i przenoszą mury lub padają bezsilne... Chwała Pani Niebios! Chwała!

Naraz przypadł pan Piotr Czarniecki, wołając:

— Księżę przeorze wielebny, czemu z dział nie strzelamy? Prochu przecie dostatek?

— Kto wie, na jak długo potrzebować go będziemy — odparł Kordecki — a nie widzę konieczności odstrzeliwania się działom. Gdy się Szwed hurmem cisnąć zacznie, wtedy dział spróbujemy.

— Ano, wola wasza, rozkazanie hetmańskie święte! Trzeba się starać o to, żebyśmy na organkach dobrze grali, skoro inszego instrumentu zażyć nie można.

Szwed następował niezbyt ochotnie; starał się pociskami zapalić dachy, mur zniszczyć, wyłom zrobić, ale daremnie. Czy to nieumiejętność puszkarzy, czy cud Boży — dość, że kule warczały w powietrzu, lecz spadały nieszkodliwie. Miller nie posiadał się z gniewu, łajał, bił żołnierzy, którzy uniewinniali się jego własną myślą:

— To czary! Siła ludzka nie poradzi...

Miller rzekomo się śmiał lub oburzał na takie tłumaczenie, lecz w duchu myślał tak samo. Coraz bardziej niespokojnem okiem mierzył Jasną-Górę, bo coraz dziwniejsze dochodziły go wieści. Jedni mówili, że widują nad klasztorem, we mgłach rannych, postać niewieścią, płaszczem jasnym osłaniającą twierdzę i odwracającą kule; drudzy szeptali o starcu, który się miał zjawiać nocą pod murami; inni utrzymywali, iż widują niewiastę i starca przesuwających się w powietrzu,

nad klasztorem. Pogłoski te coraz większej nabierały wiary, więc lęk ogarniał nawet starszyznę. Skutek wieści onych był fatalny: wojsko szemrało, rozkazy wykonywało z musu, z ukosa patrząc na twierdzę, odstrzeliwającą się z rzadka i jakby istotnie osłanianą potęgą niewidzialną.

Stary jenerał, widząc tę zmianę w żołnierzu, posępniał i na duchu upadał. Straszliwa moc tajemniczości, cudu, otaczała posiwiałego w bojach wodza; czuł, że ma do czynienia nie ze zwykłą siłą ludzką, lecz z potęgą nieuchwytną, niewidzialną, z którą walka była próżnem szamotaniem się. Co chwila przeklinał Weyharda, który go tu przywiódł. Cofnąć się, tak daleko zabrnąwszy, nie mógł, ale dałby wiele za rozkaz, któryby go stąd odwołał.

(D. c. n.)



KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

R. 1650. Ksiądz Bartłomiej Celejowicz, pleban z Borkowa, napadnięty został w drodze do Częstochowy, za Proszowicami, przez plondrujących Polskę heretyków. Już go mieli łotrzy na szablach roznieść, gdy zwrócił się o pomoc do Orędowniczki Niebieskiej, nieraz już bowiem łaski od Niej doznawał. Zbóje, jakby gromem rażeni, pierzchli.

Tegoż roku ksiądz Jan Rubinkowski, pleban w Dunajgrodzie, pisarz konsystorza w Kamieńcu, dostał się, wraz z sześcioma innymi kapłanami, w ręce zbójeckie. Owych sześciu innych kapłanów w jego oczach zbóje ścięli, on zaś, czekając swojej kolei, Najświętszej Orędownicze się polecał. Przyszła z ratunkiem Niepokalana, zbóje do więzienia go wtrącili tymczasem, gdyż snać w danej chwili dość mieli krwi przelania. Rychle też i z turmy go uwolniono, również za łaską Panienki, która natchnęła świętobliwego archidyakona kamienieckiego, iżby swego przyjaciela ze szponów łotrowskich pieniędzmi wykupił.

R. 1656. Ksiądz Jan Radoszewski, pleban z Szymkowa, jadąc na Śląsk, wpadł w ręce Szwedów. Przez sześć niedziel więzili go heretycy w Bolesławiu, w tamtejszym zamku, głodem morząc, znęcając się nad nim nieludzko, wreszcie postanowili go rozstrzelać. Prowadzony na plac kaźni, polecił się Panience Częstochowskiej, co uczyniwszy, targnął się, wyrwał z rąk zbirów, wyskoczył przez okno baszty, ośmnaście łokci po nad ziemią się znajdującej... Żadnego szwaku nie doznawszy,

jął uciekać i udało mu się szczęśliwie, chociaż za nim gęsto strzelano i chociaż musiał rzekę przepływać.

R. 1672. Tomasz Łagowski, wzięty w niewolę przez Tatarów w bitwie pod Brachiłowem, dwa lata katusze jassyru cierpiał. Ocalony za łaską Panienki Częstochowskiej, służbie Bożej się poświęcił.

R. 1673. Ksiądz Jędrzej Słowacz z Ołumuńca służył niegdyś w wojsku cesarskiem. W bitwie pod Gałgrzem dostał się w niewolę turecką. Innych jeńców poganie pościnali, jego oszczędzili, gdyż Najświętszej Pannie się polecał. Z jassyru uszedł szczęśliwie i służbie Bożej się poświęcił. Jedną ze swoich prac pobożnych: „O Bogu w Trójcy Ś-tej Jedynym“, Panience Częstochowskiej przypisał, jako swojej Wybawicielce.

R. 1742. Ksiądz Tomasz Przyjałkowski został przez Adama Liduchowskiego, starostę włodzimierskiego, wtrącony do więzienia najniewinniej. Więzienie było ciężkie, z podwójnem zamknięciem i strażą. Kapłan niewinny nie upadł na duchu, zwrócił się w ucisku swojem do Boga i Pani Anielskiej.

— O, Panie Boże mój — tak się modlił — jakoś Twoją Najświętszą, na Jasnej-Górze cudami rozsławioną Matkę, od grzechu pierworodnego i wszelkiej innej grzechowej zmazy wolną zachował, tak racz uwolnić i mnie, za Jej przyczyną, z niniejszej niewoli.

„Zaraz po tej modlitwie, bez ludzkiej ręki, pootwierały się zamki, żelaza, kajdany i drzwi więzienia, straż w głęboki sen zapadła, kapłan tedy niewinny uszedł z więzienia bez przeszkody.“

Kończąc ten rozdział szósty części wtórej „Odrobin ze stołu królewskiego Królowej Nieba i ziemi,“ ksiądz Nieszporkowicz nadmienia: „Innych, dawniejszych i późniejszych oswobodzeń z niewoli, trudno tu wyrazić. Dość, że sami poganie o nich mówią. Tatarski poseł jeden umyślnie przybył na Jasną-Górę, miejsce cudami słynące obaczyć. Przybywszy, tak mówił do Ojców Paulinów:

— O! jak szkodliwe dla nas to miejsce! Słyszeliśmy nieraz z ust niewolników naszych, a waszych braci, z jaką czcią o tem miejscu wspominają, jak za nim wzdychają. My tracimy przez nie wiele, bo Pani tego miejsca dziwną mocą mnóstwo więźniów uwalnia, że ani zamki, ani straże, ani okowy, utrzymać ich mogą.“

Poczet łask cudownych, w rozdziale siódmym „Odrobin“, rozpoczyna się, po śmierci króla Władysława IV w r. 1652. W tym oto roku, Adam Strzałkowski, szlachcic, pod Batowem przez Tatarów ujęty, został skazany na śmierć. Wiedząc o tem, wydobył z zanadrza mały wizerunek na blasze Panienki Częstochowskiej i modląc się, do serca go tulił. Już się Tatarzyn zamierzył na niego szablą, ale niemoc go ogar-

nęła, broń mu z ręki wypadła. Po chwili znów poganin ujął szablę i znów mu moc Pani Anielskiej ją wytrąciła. Tedy puścił wolno jeńca, już się nie kusząc o uśmiercenie go.

W rok potem tenże sam Adam Strzałkowski, w bitwie z Turkami pod Cudnowem, ponownie został ocalony przez on blaszany wizerunek. Kula uderzyła go w piersi, przebiła pancerz a na wizerunku się zatrzymała.

R. 1677. Grzegorz Kobelecki, szlachcic, cnotą i odwagą znamienity, zawsze podczas bitwy pierś wizerunkiem Panienki Częstochowskiej osłaniał i zawsze ów ryngraf tarczą niezawodną dla niego się okazywał.

Pod tymże rokiem zapisano w aktach klasztornych:

Jędrzej Jeżowski, pułkownik królewski, wizerunek Panienki Częstochowskiej, na blasze, w srebro oprawny, wciąż nosił na piersiach, podczas wojny i w domu. Łaski doznawał nietylko sam, ale i insi, którym tego wizerunku udzielał. Więc naprzód w r. 1666, pod Barbiłowem, Józef Lassor, krewniak Jeżowskiego, w ciężkiej chorobie z ostatniemi pasując się siłami, prosił o ten obrazek do ręki. Otrzymawszy go, począł modlić się gorąco do Niepokalanej i zaraz ulgę uczuł. Nie zaprzestał modlitwy żarliwej, wciąż w wizerunek się wpatrując, a Orędowniczka zdrowie mu przywróciła.

Innym razem, we wsi Bazarze, na Podolu, pod Jasłowcem, włodarz, otworzywszy jamę ze zbożem, do której dawno nikt nie zaglądał i wszedłszy tam, został zgniłem powietrzem rażony. Upadł bez przytomności, nie można było go doratować. Pani Jeżowska czemprędzej wzięła od męża rzeczony wizerunek Panienki Częstochowskiej, położyła go na obumarłym, wzywając Niepokalanej. Włodarz ocknął się, jak gdyby ze snu.

Jeszcze jedno zdarzenie z tymże wizerunkiem:

Udał się pułkownik Jeżowski na kampanię Żórowińską. Miał pod sobą półtora tysiąca jazdy, na dwadzieścia tysięcy Turków i Tatarów. Poganie przemogli, Jeżowski dostał się w niewolę. Srodze mu poganie dokuczali: morzyli go głodem, smagali kańczugami — on znosił wszystko, siłę czerpiąc w modlitwie przed wizerunkiem drogim, który zdołał jakoś od oczu pogan uchronić. Aliści podpatrzyli go na modlitwie, wydarli mu pociechę jedyną. Prosił ich:

— Wyłamcie srebro i weźcie, a mnie samą blachę z wizerunkiem dajcie.

— Co ci z tego? — odparł jeden z Tatarów. — Nam się ta blacha przyda do załatania kotła.

Rzekłszy to, poganin rzucił blachę z wizerunkiem pomiędzy konie.

Żałośnie patrzył Jeżowski na poniewierkę świętości, ale nic na to poradzić nie mógł. Wieczorem, umordowany ciężką pracą, zasnął, a obudziwszy się nazajutrz, z radością spostrzegł wizerunek tuż przy sobie. Pomyślał wtedy:

— Cudownie obrazik do mnie wrócił, może też Najświętsza Panienka również cudownie z niewoli mnie wybawi.

Jakoż doczekał się uwolnienia. Znalazłszy się w kraju, przed królem Janem III Sobieskim opowiedział przygody z wizerunkiem, a następnie zeznanie na Jasnej-Górze powtórzył.

R. 1708. Szlachcic Domański prezentował Ojcom Paulinom jasnogórskim podobiznę wizerunku cudownego na blasze, postrzałem kul szwedzkich na piersiach jego naznaczoną, zeznając, iż co jemu samemu dostać się miało, to ten obrazik wytrzymał za niego w potrzebie ze Szwedami pod Warszawą, życie mu tym kształtem ocalając.

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

IV.

Kinga, inaczej Kunegundą zwana, małżonka Bolesława Wstydliwego.

I.

W jasełkach krakowskich śpiewają pieśń taką:

„Słynie krakowska Wieliczka, a nad nią stoi w obłoku, z palmą i berłem przy boku, kamiennej soli Dziedziczka. Jestto Ś-ta Kinga owa, polskiego ludu królowa, co to, z przejrzenia Bożego, w Wieliczce cudem odkryła sól dla narodu naszego i chleb polski posoliła. Znajże ludu, znajże ludu, że to tobie łaską cudu Bóg przez Kingę wskazał z nieba sól do powszedniego chleba. Na lat tysiąc jest zapasów, jest to twoja ludu bania i za dawnych niegdyś czasów była sól dla kmiecia tania, jako mówią starzy.“

O tej Dobrodziejce Ś-tej wysnujemy opowieść.

Nazywamy ją Dobrodziejką, bo obok księżniczki czeskiej Dąbrówki, która nam chrześcijaństwo, a małżonki Jagiełłowej Jadwigi, która Litwie chrześcijaństwo przyniosła, nie miała dawna Polska królowej, która stałaby się dla kraju źródłem tylu wielkich dobrodziejstw, jak Kinga. Osobliwie strony krakowskie doznały zbawiennych owoców jej

obecności. Kingi posagiem broniła się Małopolska od gromów pierwszej burzy tatarskiej; Kingi imię wiąże się słusznie z odkryciem bocheńskiego skarbca solnego; Kingi klasztor i życie klasztorne w Starym Sączu napawały przez długie wieki całą krainę przyległą bądź religijną pociechą, bądź pomocą ziemską.

Nadmienimy jeszcze, że Dobrodziejką Świętą naród zwał Kingę; Kunegundą nazywano ją w dokumentach łacińskich.

Żywot Kingi opowiemy naprzód wedle kronik, przechowywanych w krakowskim klasztorze Panienek Ś-go Jędrzeja.

Kinga tedy była córką króla węgierskiego Beli, z matki Maryi cesarzówny carogrodzkiej, to jest greckiej. Brat rodzony Beli był księciem halickim, miał za żonę Salomeę, córkę władcy polskiego Leszka, a siostrę rodzoną Bolesława Pudyka, to jest Wstydliwego. Ta Salomea Kingę z Węgier tajemnie uwiozła, aby ją za żonę dać bratu swemu, liczącemu wtenczas lat zaledwie dwanaście. Stało się to z wolą matki Bolesława, która sobie mocno życzyła, aby syn jej pojął małżonkę siostrze swojej, Salomei, podobną. Gdy Bolesławowi Kingę z wielką pompą i dworem do kościoła przywiedziono, sprawił to Bóg, iż mu się podobną Salomei zdała. Od spojrzenia w niej się rozmiłował.

Kinga od maleństwa dawała wyraźne znaki przyszłej swojej świętobliwości. Był wówczas zwyczaj, iż dzieciom królewskim, po odłączeniu ich od piersi, dawano Najświętsze Ciało Chrystusowe w kielichu. Z Kingą inaczej się stało. Gdy ją chrzczono, przemówiła te słowa: „Witaj Królowo Nieba“, osądzono przeto, iż należy, aby niezwłocznie Ciało Najświętsze w kielichu przyjęła. Tak też uczyniono. Odchowaną nieco, ale jeszcze niemowlę, wraz z innemi dziatkami królewskiemi przynoszono do kościoła na Mszę Ś-tą i zauważono, że podczas Mszy nigdy nie płakała, ani jeść żądała, lecz oczka w niebo podnosiła. Podrastając, jak najczęściej przebywała w kościele, rówieśnice swoje tam pociągała. Przed końcem nabożeństwa nigdy świątyni nie opuszczała, modliła się żarliwie, ciało młode umartwiała, kazań słuchała pilnie i nauki z nich wyciągała, a dworzanki swoje do pobożności nakłaniała.

Najbardziej Boga prosiła, aby ją przy czystości i dziewictwie zachował. Włosienicę od młodości nosiła. Podczas godów weselnych, w których uczestniczył arcybiskup, biskupi i najmożniejsi panowie, gdy zabawa szła w najlepsze, ona, jak Ś-ta Cecylia, o to błagała Boga. Po weselu, Bolesław rzekł do niej:

— Proś, o co chcesz, a nie odmówię ci.

Ona prosiła nie o złoto i szaty drogie, lecz, aby spólnie czystość zachowywali, Bogu ją ślubując i ofiarując. Bolesław, na to żądanie zgodził się.

Nad młodą mężatką czuwała świekra jej, Grzmisława, a widząc, że się całkiem bogomyślności oddaje, modli się, ciało udręcza, do kościoła przy każdej sposobności boso wykrada i po całych nocach tam zostaje, surowo ją gromiła. Zwłaszcza srogo ją upomniała, gdy się razu pewnego, w Korczynie, do kościoła Ś-go Mikołaja chyłkiem wymknęła.

Razu pewnego, jadąc z Korczyna do Pacanowa, napotkała trędowatego. Inni go omijali, a ona trąd jego całowała, na wóz go swój wzięła. Dwórki szydzić, wyśmiewać się z pani swojej zaczęły i od towarzystwa jej usuwać; ona zaś, nie dbając o to, białogłowie, także trędowatej, posługi czyniła i pociechę dawała. Wtedy usta jej spuchły, przeto mniemano, że się zaraziła; Kinga jednak wciąż nieszczęśliwą się opiekowała, a puchlina odeszła i zaraza jej się nie jęła. Od nawiedzania zarażonych czart ją w Sandomierzu raz gromadą psów, to znowu gromadą wieprzów odstraszał, ale ona krzyżem świętym go odpłoszyła i wciąż posługi miłosierne sprawowała.

Gdy na Tatary Bolesław wyjechał, wielkie mu zwycięstwo u Boga uprosiła. Modlącej się, Święci Gerwazy i Protazy się zjawili, skutek pomyślny jej błaganiom obiecując. Jakoż rycerstwo widziało, iż ci Święci w czasie walki się ukazali, do pogromu Tatarów tak dzielnie pomagając, że żaden z naszych nie zginął, ani w niewolę został ujęty.

Jałmużny wielkie czyniła Kinga, wiele złota na ołtarz kładła. W wielki piątek czterdziestu ubogich karmiła, umywała, odziewała, obdarzała. Gdy do klasztoru Ś-tej Klary, ufundowanego przez Salomeę, się udawała, drogą szatę kładła na się i w klasztorze ją na ofiarę zostawiała. Razu pewnego w klasztorze umieściła białogłowę, niebardzo tego wartą. Zwracano jej uwagę na to. Ale ona Duchem Ś-tym prorokowała, iż białogłowa ta zmieni się, nawet inne mniszki życiem pobożnem przewyższy. I tak się stało.

W drodzę będąc, żadnego kościoła nie ominęła, żeby ofiary w nim nie złożyć, a gdzie był kościół wezwania Najświętszej Panny, do takiego pieszo i boso szła, chociażby po najgorszych ścieżkach. Raz, gdy chciała wejść do kościoła w Skaryszowie, czart, w postaci baby, od kościoła wyższej, przystępu jej bronił. Ulękli się wszyscy, zakrzyknęli z bojaźni, a ona Krzyżem Ś-tym czarta odpędziła, poczem furta kościelna sama się przed nią rozwarła.

Odwiedzając ojca swego, króla Belę, w Węgrzech, uprosiła go, iż jej górę jedną soli darował. W szczelinę onej góry pierścień swój wrzuciła. Potem, gdy się w Bochni, ziemi krakowskiej, żupy solne otworzyły, w pierwszym bałwanie soli, który wykopano, ów pierścień się znalazł. Poznała go Kinga i dziękowała Bogu za łaskę cudowną. Jakoż cud to był; w nagrodę jej cnót, Bóg Polskę solą obdarzył. Również na Węgrzech bawiąc, dowiedziała się, iż niektórzy panowie wę-

gierscy na jej ojca się zmówili i zabić go mieli podczas uczty u niejakiego Pawła. Wnet udała się pomiędzy onych złych ludzi, trzydzieści mieczów z rąk im wydarła, dworzan swoich niemi uzbroiwszy, ojca swego z zasadzki bezpieczno uprowadziła.

Wróciwszy do Polski, w ostrym żywocie i jałmużnach rosła. Zawsze szatę, w której najpiękniej jej było, bądź klejnot najdroższy, Bogu w ofierze składała. Gdy ją za urodę chwalono, twarz brukała, aby się szpetną uczynić i od pokus świata oddalić.

Jeszcze za życia małżonka swego i za jego zezwoleniem, śluby zakonne uczyniła, przy Mszy śpiewanej, regule Ś-go Franciszka w Krakowie się poświęcając i tak żyła w posłuszeństwie zakonnem, wszystko, co reguła wymagała, pełniąc. Przed profesyą małżonek kazał jej mięso jadać, zwierzynę, wino pić. Ona poprzestawała na rybach, co rozgniewało Bolesława. Gdy jednak pokosztował ryb, które jadła i uczuł, że mają smak mięsny, już się do jej pokarmów nie wtrącał.

Spowiednik nie pozwalał jej boso chadzać. Ona od trzewików podeszwy odejmowała i rzekomo w trzewikach chodziła. Spostrzegłszy ten podstęp, kapłan zadał jej pokutę, aby, trzewiki na szyi zawiesiwszy, na ziemi czas pewien siedziała. I wypełniła pokutę. Zawsze cały ranek na modlitwie trawiła, po obiedzie zaś dzierzgała szaty kościelne. Z małżonkiem przez lat 40 w czystości świętej przeżyła.

Po śmierci małżonka, jeszcze przed jego pogrzebem, jawnie ubiór mniszek Klarysek Ś-go Franciszka na się wdziała, w dzień Ś-go Melchiada. Gdy panowie na pogrzeb królewski zjechali, prosili ją, żeby ich nie opuszczając, rządy królewskie po małżonku sprawowała lub też kogo do owych rządów przeznaczyła. Kinga na rozmysł sobie to wziąwszy, powiedziała im:

— Zażądajcie tego ponownie, gdy mnie we wdowich szatach ujrzycie.

Następnie udała się z siostrą swoją, księżną wielkopolską, do domu pewnej panny nabożnej, imieniem Marty. Tam wziąwszy prześcieradło męża zmarłego, rozcięły je, głowy swoje pokorne obwinęły temi zasłonami, jako mniszki i tak udały się na pogrzeb Bolesława. Zrozumieli panowie i lud, iż Kinga tym sposobem oznajmia, jako próśb ich wysłuchać nie może, pragnąc życie odtąd Bogu Samemu poświęcić. Tedy wyrzekano i mówiono:

— Oto umarł nam król śmiercią, a królowa zakonem!

Idąc za trumną, płakała tak rzewnie Kinga, iż zasłona jej od łez pozieleniała. Po pogrzebie, z niewczasów i umartwień, pot krwawy z jej czoła płynął. Rychle udała się do Sącza, gdzie miała wiano swoje. Tam klasztor Klarysek zbudowała, hojnie go opatrzyła, a do klasz-

toru wiele szlachetnych dziewic i panienek z ubóstwa powołała, aby razem z niemi służbę Bogu pełnić, ku pomocy wszystkiego chrześcijaństwa—i żywych, i umarłych. Jakoż w klasztorze służyła pokornie wszystkim Siostrom, ludzi od grzechu odwodziła, sieroty wychowywała, ubogich wspierała, matką wszystkich nieszczęśliwych była.

Brat jej cioteczny, Jędrzej, syn króla węgierskiego Stefana, wygnany z ojczyzny, do Polski się schronił, u ciotki opieki szukając. Stefan ścigać go kazał. Schwytano go, poznano i utopiono w Nidzie, między Wiślicą a Korczynem. Kinga ciało jego do Sącza sprowadzić kazała i wraz z Siostrami pilnie się przy nim modliła. Zmarły do życia powracać zaczął i już wstawał, lecz ona na nim rękę położyła, mówiąc:

— Spoczywaj w spokoju!

Zaraz też znieruchomiał i znaki ożywienia znikły.

Zdumione Siostry zapytywały, dlaczego tak uczyniła, na co odparła:

— Albowiem Bóg Wszechmocny objawić mi raczył, iż brat mój cioteczny Jędrzej, nie umarł w grzechu śmiertelnym, w który mógł wpaść, żyjąc dłużej. Przytem, gdyby żył, wieleby się przez niego krwi chrześcijańskiej rozlało. Wreszcie cudowne wskrzeszenie mogłoby duszę jego wbić w pychę, przez co utraciłby wszelkie skarby duchowne, a z niemi żywot wieczny w szczęśliwości.

Osobne miała nabożeństwo na każdą niedzielę, wspominała bowiem w każdą niedzielę Zmartwychwstanie Pańskie i dlatego dni tych powstrzymywała się od łez.

Kinga całowała Siostry zakonne nabożnie, gdy zasługiwały na to. Pacałunki jej były cudowne, bo od chorób leczyły.

Często, modląc się, w zachwycenie wpadała, a wtedy, jeśli to działo się podczas Mszy, Ciała Pańskiego nie widziała. Karciła się za to srogą pokutą, mniemając, iż z grzechu to pochodzi.

Wiele ornatów i innych kościelnych aparatów kościołom rozsyłała. Za jej to sprawą, starunkiem i zachodem, Stanisław Szczepanowski w poczet Świętych Pańskich zaliczony został r. 1263, przez Papieża Inocentego IV. Gdy do kanonizacyi tego Męczennika przyszło, sama, z biskupem krakowskim Prokopem i innymi duchownymi, kości jego podnosiła i łzami polewała. Wiele czartów z ciał ludzkich wyganiała, między innymi ocaliła od nagabywania czartowskiego niejakiego Siestrzemiła.

I oto nie uchroniła się przed złością ludzką Święta Dobrodziejka. Miała spowiednikiem Boguchwała, Franciszkanina, męża świętobliwego i niepokalanego. Pochodził on z klasztoru, który sama w Starym Są-

czu ufundowała i potrzebami wszelkiemi hojnie uposażyła. Nikczemni potwarcy oskarżyli Boguchwała przed przełożeństwem klasztornem, iż się wszeteczności dopuszcza z Kingą. Przełożeństwo, uwierzywszy, natychmiast wysłało do Boguchwała z poleceniem najsurowszem, aby niezwłocznie się stawił przed niem, rzucając nawet zajęcie, przy którem zastałby go ten rozkaz. Boguchwał właśnie spowiadał Kingę. Ulegając rozkazowi, nie dokończył spowiedzi, brewiarz jeno zabrawszy, do Sącza Starego pobieżał. Na jego miejsce dano Kindze za spowiednika Piotra Odranca, Czecha, również z tego zakonu. Kinga przed nim spowiedź z całego życia uczyniła, a on pytał ją o grzech z Bogusławem. Odpowiedziała Kinga:

— Ojcze Wielebny, nie będę się z tego tłómaczyła. Wyjaśni ci to Ten, co tajemnice serc wszystkich zna, co świadom jest wszystkiego.

To rzekłszy, do swojej kapliczki się udała, tam krzyżem upadła i gorącemi łzami się oblewając, dziękowała Bogu, iż ją potwarzą doświadcza.

Spowiednik, ów Piotr Odraniec, zajrzał oknem do kaplicy i stropił się mocno, gdyż zobaczył dokoła Kingi jasność wielką. Zdjęty lękiem, czemprędzej pobieżał do przełożeństwa swego, a stanąwszy przed niem, rzekł:

— Na Boga! zgrzeszyliście przeciw tej Świętej, a z wami i ja! Osławiliśmy ją niewinnie i brata naszego.

Opowiedziawszy potem, co widział, nadmienił:

— Zaiste, gdybym dłużej na oną światłość patrzył, ślepym zostałbym! Niebiańskie to bowiem były blaski.

Czasów Kingi, Tatarzy z mocą wielką napadali na Polskę. Panujący wtedy Laszek, nie mogąc im się oprzeć, uszedł na Węgry, Kinga zaś, ze swojemi zakonnicami, opuściła Sącz i schroniła się w zameczku Pieniany. Tam ją oblegli Tatarowie. Długo pod zameczkiem czasu stracili, nie mogąc go zdobyć. Podczas oblężenia, wina w zameczku zabrakło, a Kinga nic innego pijać nie mogła, jeno wino z wodą pospołu. Trapiły się zakonnice tym brakiem, lecz niedługo, bo oto zjawili się dwaj młodzieńcy, przecudnej urody, przynieśli dwie butle wina, oddawszy zaś je zakonnicom, znikli. Jasno, że byli to Aniołowie, Posłowie Niebiescy.

Rok przed śmiercią Kinga bardzo chorzała, a w niemocy onej, ustawicznie chwaląc Chrystusa i dziękując Mu za łaski, widywała Ś-go Jana Ewangelistę i Salomeę, którzy ją cieszyli i umacniali. Pewnego razu, blizką już śmierci będąc, rzekła do stojących dokoła łoża Sióstr:

— Ustąpcie się.

Zapytały Siostry:

— Dlaczego ustępować nam każesz?

Rzekła Kinga:

— Czy nie widzicie Ś-go Franciszka?... Oto do mnie zstępuje z pociechą.

Chwaliły Boga Siostry, a Kinga, wiedząc, iż odchodzi ze świata, mówiła:

— Panie Jezu Chryste! wszystkom od Ciebie miała na tym świecie, przeto wszystko Tobie wracam... Panienki zakonne Tobie zostawuję, sama Twojej obronie się polecam.

Potem do Sióstr się zwróciła:

— Najmilsze córki, jeśli trwać w tej swiętobliwości, w której was zostawuję, będziecie, obiecuję wam i od Pana Boga ślubuję, iż chwała Boża do dnia sądnego z tego klasztoru nie wynijdzie.

Po śmierci męża swego mięsa nigdy nie tknęła, a w środy, piątki i soboty na chlebie samym, raz dziennie tylko, wieczorem, zażywanym przestawała. W wigilie świąt Panny Maryi trochę tylko opłatków pożywała. Przed północą wstając, zawsze się modliła przed krucyfiksem aż do zorzy, a poczynając modlitwę, naprzód serce żegnała, mówiąc z Psalmistą:

— „W Zakonie Pańskim strzedz serca tego i o nim rozmyślać będę we dnie i w nocy.“

Wreszcie twarzą na ziemię przypadając, nizko się kłaniała.

Przy słuchaniu Mszy Ś-tej, po trzykroć czarkę małą łzami napełniała. Odbywszy nabożeństwo, Siostrom służyła, opatrując, co której potrzeba, w piecach paląc i inne ciężkie posługi ochotnie pełniąc. Po Komplecie milczenie zachowywała i tylko znakami się porozumiewała. Po wieczerzy czytała lub rozważała żywoty Świętych, a szczególniej w żywocie Ś-go Antoniusa się zatapiać lubiła. W chórze, im piękniej Siostry śpiewały, tem się wyżej myślą w niebo podnosiła, między Anioły; wtedy z ust jej dziwnie wdzięczne śpiewanie wychodziło.

Ku Aniołom miała wielkie nabożeństwo. Będąc czystą panienką a męża nie znając, nie chciała być poświęconą między pannami, jeno między wdowami. Gdy jej to wymawiał spowiednik Boguchwał nadmieniając, iż w fałszywem świetle się przedstawia, pokornie przed nim na kolana padała, prosząc, by ją za czystość nie sławił.

On Boguchwał, umierając, przywołał do łoża swego liczną rzeszę ludzi i to im powiedział:

— Oto ja idę drogą wszystkich śmiertelnych, czuję przeto obowiązek powiedzieć wam, że pani Kinga, chociaż była małżonką, dziewicą

została. Że tak jest, miejcie ten znak, iż tu, w Sączu, w miejscu, gdzie dziś sukno przedają, rychle trawa i pokrzywy rosnąć będą.

Znak się wypełnił, bo miasto przeniesiono.

Duchem prorockim przepowiedziała Kinga, iż ona pierwsza z pomiędzy Sióstr zakonnych świat ten opuści. Jakoż tak się stało. Zmarła zaś w wigilię Ś-go Jakuba r. 1292. Wonność śliczna od jej ciała szła, siostry niektóre widziały jej duszę w niebo wstępującą, a kanonik wiślicki Chrystyan słyszał podczas jej pogrzebu śpiewy Aniołów.

Po śmierci licznemi cudami słynęła, z cudów zaś, które u Boga wyprosiła za życia, na uwagę zasługuje ten: Klasztor jej miał wielką trudność w zdobywaniu sobie wody. Otóż Kinga wyszła za miasto, nad rzeczkę tam płynącą, Przesznicę, laską lipową nakreśliła ślad, wracając do klasztoru i w imię Pana Jezusa rozkazała rzece, aby tym śladem płynęła. Jakoż koryto rzeki zwróciło się pomiędzy budynki klasztorne. Laskę lipową Kinga zatknęła przy furcie klasztoru, — nazajutrz ta laska wypuściła świeże gałązki i wkrótce w drzewo rozłożyste się rozrosła.

W poczet Świętych Pańskich włączył Kingę Papież Klemens X, on też ją za jedną z Patronek Polski naznaczył.

Ksiądz Piotr Skarga z żywota Kingi taki obrok duchowny wyciąga:

„Częste potwarze na czysty i powściągliwy stan nieprzyjaciel przywodzi, jako na tę Świętą o spowiednika jej. Co również spotkało onę czystą a niepokalaną oblubienicę cesarza Henryka, która Kingi także imię nosiła. Cesarz Henryk tak samo z małżonką tą swoją Kunegundą czystość dozgonną Panu Bogu był obiecał, a następnie ją podejrzewał o miłostki z dworzaninem swoim. A Kunegunda, to zrozumiawszy, po spowiedzi i Komunii Ś-tej, po trzydziestodniowym poście, modlitwą i płaczem polecając się Bogu, kazała blachy żelazne rozpalić i na ziemi ją przed małżonkiem cesarzem położywszy, tak rzekła:

— Boże, Ty wiesz, żem panieństwa mego Tobie dochowała, daj teraz świadectwo tej prawdzie. I przeżegnawszy się, po onych rozpalonych blachach bosemi nogami chodziła, a szkody żadnej i bolenia nie uczuła. Na co patrząc, cesarz Henryk bardzo się wstydził sam siebie, iż takiem mniemaniem o oblubienicy swojej uwieść się dał i bardzo tego żałował.

Takie potwarze przypuszcza Pan Bóg na niewinnych i dla przestrogi, i dla większej zapłaty. Przestrzegają się więcej, gdy im to języki ludzkie ujmują, co przez niedbałość stracić mogą. A zapłatę większą mają, im więcej dla Pana Boga i cnoty z Józefem Patryarchą, z Zuzanną oraz z innymi cierpią.“

Ojciec Prokop zaś żywot Kingi następującą kończy modlitwą:

„Przykład tej Błogosławionej Królowej, dziewictwo nawet w związku małżeńskim zachowującej, niech nas zachęca do zachowania świętej cnoty czystości, w jakimkolwiek stanie jesteśmy. Bowiem i w małżeństwie, chociażby małżonkowie nie wyrzekali się potomstwa, ta cnota ma swoje warunki, które dochowując wiernie, wielkie przed Bogiem stadła chrześcijańskie mogą skarbić sobie zasługi. Boże, który Błogosławioną Kunegundę słodyczą łask swoich uprzedziłeś i dziewicą nawet w małżeństwie przechowałeś, spraw, prosimy, abyśmy za jej wstawieniem się czystością obyczajów z Tobą się jednoczyli, a w ślady jej wstępując, do Ciebie szczęśliwie dojść mogli!...

II.

Poznawszy, co pisarze kościelni mówią o Kindze, rozpatrzmy się w świadectwach dziejowych o niej. Ważne są one i pouczające. Najpierw ogarnijmy wzrokiem widownię, na której postać Świętej Dobrodziejki się ukazuje.

Śmierć Henryka Brodacza, księcia na Krakowie i Śląsku, zabrała siedmnastoletniemu synowi Leszka Białego, Bolesławowi Wstydliwemu, dotychczas tylko księciu na Sandomierzu, a w przyszłości dziedzicowi całej ziemi Krakowskiej, nader zacnego a potężnego opiekuna. Natomiast wdzierał się do opieki rodzony stryj Bolesława, Konrad, książę Mazowsza. Lecz głośna po całym kraju, a nawet już przez samego synowca doznana gwałtowność i nieprawość stryjowska, stała małoletniemu Piastowiczowi za najcięższą niewolę. Nastąpił wprawdzie bezpośrednio po śmierci Henryka Brodacza, zarówno w Księstwach Wrocławskiem i Krakowskiem, jak i w opiekuństwie nad młodym Bolesławem, syn Henryka, także Henryk, zwany Pobożnym, ale ten miał wielu własnych, swarliwych synów, potrzebujących ustawicznej pieczy i ziem szerokich, a przy łatwości pokrzywdzenia młodziana na rzecz synów rodzonych, któż mógł być pewnym, że dziedzic księstw ojczystych będzie oraz dziedzicem cnoty ojcowskiej?... Trzeba było więc szukać w innych stronach nowej, pewniejszej podpory.

W takiem położeniu się nalazłszy, czuwające nad losem Bolesława niewiasty książęce: jego własna matka Grzmisława; jego ciotka Salomea, księżna słowiańska, małżonka węgierskiego królewicza Kalmana, brata króla Beli IV, a pana południowej części królestwa, bawiąca przy mężu w Węgrzech: upatrzyły najzbawienniejszą pomoc w wyswataniu Bolesława z jedną z królewien węgierskich, córką króla Beli IV.

Było to niepospolitą fortuną dla małoletniego książęcia sandomierskiego. Węgry, ubłogosławione Dunajem, winem, solą, a zwłaszcza kopalniami rzadkiego podówczas złota i srebra, należały do najbogatszych państw Europy. Królowie węgierscy słynęli jako bogacze pomiędzy monarchami. Sam Bela oświadczał hardo, iż ma do syta skarbów i złota. Przeto bogaty posag winien był otrzymać zięć takiego monarchy, a mając złoto, mając ojca w królu węgierskim, mógł młody Bolesław nie dbać o opieszałą pomoc swoich krewniaków; mógł przeciw Konradowi. bądź przeciw komukolwiek innemu mieć w każdej chwili wojsko zaciężne, otrzymać zbrojne posiłki z Węgier, schronić się tam w chwili niebezpieczeństwa.

Tak przeważne względy kazały użyć wszelkich środków do zawarcia małżeństwa. Nie zważano na młodociany wiek Bolesława i królewien węgierskich. Ośmnasty rok oblubieńca, a piętnasty najstarszej królewny węgierskiej Kingi, przeznaczonej zasiąść na tronie polskim, zdały się ówczesnym wyobrażeniom najstosowniejszą porą do stadła małżeńskiego.

Nad Bolesławem w tej mierze pracował w Sandomierzu radą i przedstawieniami krakowski biskup Wisław, gorliwy zwolennik związku węgierskiego; u dworu króla Beli ułatwiała dzieło polska bratowa Salomea. Zaczem już w kilka miesięcy po śmierci dawnego opiekuna, Henryka Brodacza, wyjechali najmożniejsi panowie polscy: Klimunt z Klimuntowa, kasztelan i Janusz, wojewoda krakowski w dziewosłęby do Węgier i jeszcze w tym samym roku 1239, przywieziono Bolesławowi pożądaną oblubienicę z za gór.

Gody weselne trwały w Krakowie przez dni dwanaście. Królewna zatatrzańska łączyła w sobie wszelkie wdzięki i dary niebios. Młodzież zachwycały jej lata wiosenne, jej niezwykła uroda, jej wzrost wyniosły i kibić smukła. Dusze pobożne radowało jej skromne, bogobojne wejrzenie, zapowiadające przyszłą świętobliwość żywota, do której od dziecięctwa pociągał królewnę przykład tylu z blizka i z daleka otaczających ją świętych niewiast pokrewnych: owej stryjenki Salomei, niebawem świętej; ciotki Elżbiety, wdowy po landgrafie heskim Ludwiku, przed czterema laty ukanonizowanej; trzeciej ciotki Jadwigi, wdowy po onym Henryku Brodaczu, opiekunie Bolesława, oczekującej w klasztorze trzebnickim blizkiego w poczet świętych wliczenia. Wreszcie ludzie, uwzględniający przedewszystkiem dobro światowe, cenili najbardziej posag królewny, przechodzący ogromną podówczas sumę 40 tysięcy grzywien, równą dzisiejszej sumie półczwarta miliona złotych. Młody nowożeniec uchodził zdaniem wszystkich za szczęśliwego.

Wrogi stryj Konrad nie śmiał już niepokoić synowca. Posag królewny węgierskiej leżał pilnie strzeżony w skarbcu książęcym. Tym,

czasem znalazła się potrzeba użycia go ku obronie od innego, nierównie sroższego niebezpieczeństwa.

Od lat kilku krążyły pogłoski o blizkiem najściu Tatarów, ludu nieznanego jeszcze w Polsce i Węgrzech, przybyłego w niezmiernej liczbie z dalekich krańców Wschodu i już od lat kilkunastu gnębiącego pogranicza wschodnich księstw ruskich. Wiara pogańska Tatarów, wieści o ich srogości i okrucieństwach, czyniły spodziewanych najeźdźców w oczach przelęknionego Zachodu widmem niewysłowionej okropności, przedmiotem najzabobonniejszego postrachu.

Z roku na rok zapowiadano napaść tej ludożerczej (tak wierzono o Tatarach) dziczy, ale ponieważ obawa długo okazywała się płonną, przeto oswojono się z nią i zaczęto lekceważyć pogłoski. Naraz około drugiego Bożego Narodzenia, które Kinga obchodziła w Polsce, gruchnęła już pewna wiadomość, że Tatarzy, zburzywszy Kijów, ku Rusi Czerwonej ciągną. Zanim dalsze wieści nadbiedz zdołały, uderzyła już pierwsza fala Tatarstwa o granice Polski. Co odtąd, jako plaga powszechna, gnębić miało przez długie wieki krainę Kingi, to teraz świeżem, niewidzianem jeszcze dziwem pojawiło się u jej granic.

Pierwsze czaty tatarskie, które swoim widokiem zatrwożyły wzrok uciekającego ludu polskiego, odznaczały się tą samą szeroką, śniadą twarzą, tym samym na wierzch wywróconym kożuchem i kołpakiem, temiż dwoma albo trzema łukami, o kilku pełnych sajdakach, wreszcie tymże toporem do rozbijania zamków, trokiem do pętania jeźdźców i nahajką na konia, z jakiemi w czasach następnych tak boleśnie oswoiła się wyobraźnia narodu.

Lecz podczas gdy późniejsi ordyńcy krymscy byli tylko tłuszczą pospolitych łupieżców, o ileż różnymi od nich ukazują się Tatarzy najścia pierwszego... Od lat czterdziestu urosło pod ich wojenną ręką państwo olbrzymie, obejmujące od Donu aż po Chiny, od Indyi aż do Sybiru, dwakroć tak wielką przestrzeń świata, jak cała Europa chrześcijańska, ze wszystkiemi jej państwami i państewkami. Urządzone przez mocarza, który obyczajem wszystkich twórców monarchij wschodnich, był zarazem wojownikiem, prorokiem i prawodawcą, podniosło olbrzymie mocarstwo mongolskie pospolity dotąd umysł swoich założycieli do niezwykłego stopnia dumnej rozbujałości. Ale ponieważ podniesienie to nastąpiło nagle, po stanie zupełnego barbarzyństwa na duchu i ciele, więc zrodziła się stąd jedynie chwilowa, znikoma oświata, uderzająca najdziwaczniejszymi rysami.

Najprzód upoiło Mongołów dotychczasowe szczęście wojenne ślepą wiarą w przeznaczone sobie panowanie nad światem. Doznana dotychczas pomyślność wojennego jedynowładztwa skłoniła ich ducha również do ślepego posłuszeństwa dla swoich rządców. Spólność podejmowanej

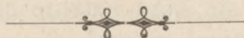
przez wszystkich członków narodu pracy zdobywczej, spólność jednego celu wielkiego, przejęła cały naród uczuciem braterstwa i moralności wzajemnej, skutkiem której każdy Tatar dla Tatara był zgodliwym, rzetelnym, miłosiernym, dalekim od wszelkiej zawiści lub złej woli.

Za to dumna świadomość swojej roli zwycięskiej, każde uczucie wielkości dokonanego przez siebie dzieła, założonej przez siebie monarchii świata, wobec której niknęły wszelkie państwa chrześcijańskie, napawały surowy zresztą umysł Tatara niesłychaną pychą względem wszystkiej pozostałej ludzkości. Posuwała się ta pycha aż do najdumniejszej pogardy, aż do owego igraszkowego usposobienia, w jakiem Tatarzy, mając sprawę z tłumem wzgardzonych przez siebie ludów, nie mogącym, według ich mniemania, wchodzić w żaden stosunek równości i wzajemności z synami Złotej Ordy (to jest Tatarami), mniemali się wolnymi od wszelkich względów ludzkich, upoważnionymi do szyderczego łamania wszelkich umów i przysiąg, do najdzikszej, z zimną krwią srogości, tak mało wówczas zdrożnej w oczach Tatara, jak srogość względem bezdusznych a szkodliwych stworzeń.

I miała prawdziwie piekielna pycha zwyciężców mongolskich tym większy pozór słuszności niejakiej, ile, że w tym wojennym zawodzie, którym oni w jedyne z resztą ludności wchodzą stosunki, czterdziestoletnie bez przerwy boje, wzbogacając Tatarów skarbem doświadczeń wojennych, nadawały im znaczną nad innymi ludźmi wyższość. Jakoż nie czem innem — nie ogromem swoich istotnych sił, nie odwagą osobistą, lecz tą wyższością rozumu, wojennym przemysłem swoim, wojenną sztuką wodzów biegłych, zawojowali oni tyle ziem i narodów.

Stąd, jak sama powierzchowność Tatara, o wcale nie zarosłej, lecz tylko lekkim porostem ocienionej twarzy, o kształtnej budowie ciała, nadobnem wcięciu w pasie, o zręcznych ruchach jeźdźca i strzelca, nie były w rzeczy przedmiotem zgrozy i obrzydzenia; tak też w całem ich rozbójniczem najściu na Zachód było więcej fanatyzmu niż wyłącznej chęci łupieży, w ich mordach i okrucieństwie więcej igraszkowej pogardy niż krwiożerczości, w ich gromach wojennych więcej przemysłu niż samej przewagi zewnętrznej.

(D. c. n.)



Drogą Swiętych Męczenników wśród pogan.

Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy, wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Czytaj, rozważaj i wznoś serce do Boga, źródła wszelkiego dobra i szczęścia.

W Azyi: Korea, Chiny.

Od roku 1866, to jest od czasu, kiedy Korea stała się widownią strasznych wypadków, wskutek których tysiące tamtejszych chrześcijan, a między nimi dwóch biskupów i siedmiu misyonarzy francuskich poniosło tam śmierć męczeńską, nie było słychać o dalszych usiłowaniach rozkrzewiania wiary w tej odległej krainie. Kościół jednakże nie zapomniał o ich potrzebach i cierpieniach. We wzniosłym liście do prześladowanych chrześcijan Korei, Pius IX, ubolewając nad ich opłakanem położeniem, obiecuje przyjść w pomoc tym nieszczęśliwym dzieciom swoim. „Co do nas, pisze, choć oddaleni, będziemy wam w duchu towarzyszyli w waszej walce, i nieustannemi modłami nieśli wam pomoc, o ile tylko zdołamy. Żebyście zaś dłużej nie byli bez przewodnika, i nie byli wystawieni, jako owce rozproszone, na niebezpieczeństwa, będziemy się starali, jak najrychlej, posłać wam nowego, równie jak poprzedni, gorliwego pasterza.“

Jakoż wkrótce potem Pius IX polecił jednemu, z garstki niedobitków prześladowania 1866 r., biskupowi Riedlowi, tę krwawą spuściznę męczenników, wzywając go, aby dalej prowadził ich pracę, walki i trudy, aby jak oni nie wahał się przelać krwi za Chrystusa.

Jakoż biskup Riedel udał się, wprost z Rzymu, na daleki Wschód, dla spełnienia wielce trudnego, acz szczytnego zadania. Ale niełatwo mu przyszło dostać się do swojej nowej ojczyzny; parę lat upłynęło, zanim, po wielu niebezpieczeństwach i bezskutecznych usiłowaniach, mógł stanąć na tej niegościnnej ziemi, gdzie go czekały: walka i cierpienie.

Na wiadomość o przybyciu biskupa, wraz z czterema misyonarzami, otucha wstąpiła w serca chrześcijan; gorliwie garnęli się oni do Sakramentów; zdawało się, że jutrzenka pomyślności i pokoju wschodzi dla Kościoła Korei. Dni i noce nie starczyły misyonarzom do zadosyćuczynienia wszystkim potrzebom wiernych i neofitów.

Nic wszakże nie zmieniło się w dawnym stanie rzeczy: też same istniały niebezpieczeństwa, taż sama nienawiść i prawa banicyi na chrześcijan, zawsze ci sami kaci, gotowi do przelewania krwi męczenników. Z tego powodu, po przybyciu do Korei, biskup Riedel pisze: „Jesteśmy rzeczywiście w rękach miłosiernego Boga; bezsilni, wśród otaczających nas niebezpieczeństw, co chwila może się rozpocząć nowe prześladowanie. Dotąd jednakże nie mieliśmy żadnego smutnego wypadku.“

Niestety, krótko trwał ten spokój, a Bóg, którege zamiary są niedocieczone, nowe dopuścił próby na tę nieszczęsną misyę.

W styczniu 1878 r., posłańcy biskupa Riedla, zostali przytrzymani na granicy chińskiej. Listy, które mieli przy sobie, wyjawiły rządowi Korei obecność w kraju biskupa i czterech misyonarzy. Biskup został uwięziony, zarządzono nowe prześladowanie chrześcijan. Wbrew wszelkim przewidywaniom, został wypuszczony na wolność, wskutek przedstawień rządu chińskiego. Powróciwszy do Chin, biskup Riedel opisał przygody swego uwięzienia, które tu podajemy.

W przekonaniu, że chcecie poznać wypadki, które mnie zmusiły do powrotu z Korei do Chin, będę usiłował zebrać moje wspomnienia, choć zmęczenie i brak zapisek, których tam robić nie mogłem, niekorzystnie wpłyną na moje opowiadanie. Tę przynajmniej będę miał pociechę, że czytając ten list, będziecie Bogu dziękowali za szczęśliwe moje ocalenie.

Kilkumiesięczny ostatni mój pobyt w Korei nie był zakłócony żadnym niepokojem, pracowaliśmy w cichości. Moi towarzysze przebiegali kraj, odwiedzali chrześcijan, którzy gromadnie korzystali z dobrodziejstw Sakramentów. Założyłem szkołę, w której miałem kilkunastu już uczniów; zawarłem umowę o nabycie domu dla pomieszczenia drukarni: zarządzający nią, chrześcijanin, już tam osiadł, i za kilka dni

miała być w ruchu. Kilkakrotnie udzielałem wiernym w samej stolicy Sakramentów, i czekałem końca uroczystości nowego roku Korejczyków, aby dalej tamże pracować. Wyglądaliśmy naszego posłańca z zagranicy, który miał przywieść listy i wiadomości z Europy; wszakże on nie przybywał. To nas niepokoiło, chociaż chrześcijanie miejscowi uspakajali mnie, iż w tej porze łatwo granicę przebyć można, a stąd jest rzeczą nieprawdopodobną, aby posłaniec miał być ujętym.

Taki był stan rzeczy, kiedy dnia 28 stycznia, około 10 rano, mój stary właściciel domu, Jan Czoi, wszedł do mego pokoju cały pomieszany. Przywykłem już do lękliwości naszych chrześcijan, a jednak smutek, na jego twarzy wyryty, wskazywał, że coś ważniejszego zajść musiało.



Torturowanie chrześcijan w Chinach i Korei, w r. 1866.

— I cóż tam, zapytałem, czy znowu jakie złe wiadomości?

— Zatrzymano na granicy posłańców—odpowiedział z głębokiem westchnieniem—a tortury zmusiły ich do wyznania wszystkiego. Król nakazał uwięzienie biskupa i wszystkich księży. Zdrajców z 1866 r., Pawła Hpi i Czoi przywołano, dla odszukania chrześcijan. Siepacze dziś tu nadejdą; jeden z nich opowiedział to swojej krewnej, chrześcijance, a ona natychmiast wysłała do nas syna z tą wiadomością.

— A więc nadeszła chwila, w której trzeba okazać się istotnie chrześcijaninem—odrzekłem. Wszystko to stało się z woli Boga, bez

naszej winy. Będziemy gotowi ponieść śmierć dla chwały Boga; najkrótsza to droga do nieba.

— Co do mnie—odrzekł Jan Czoi—nie lękam się śmierci; wszak i tak już jestem stary; ale biskup ledwie tu przybył, a ci biedni, którzy nie przyjęli jeszcze Sakramentów! To już koniec naszej religii w Korei...

Napisałem natychmiast list do księży Blanc i Deguette, od których posłaniec jeszcze był w mieście; zebrałem śpiesznie wszystkie papiery i listy z Korei, zawierające jakiekolwiek wskazówki, i kazałem je spalić. Co było w domu pieniędzy, złożyłem w ręce poczciwego drukarza, który zawiadomiony o wszystkiem, przybiegł w celu ukrycia mnie w nowonabytym domu. Zamiaru tego nie można było dokonać wśród dnia, należało czekać zmroku.

Jadąc do Korei, nie łudziłem się bynajmniej spokojnem tamże przebywaniem; codziennie przygotowywałem się na śmierć. Stąd też, za łaską Pana Boga, nie strwożyłem się wcale, a nawet śmierć uważałem za wielkie dobrodziejstwo: miałem być zwolniony z ciężaru, który od kilku lat dźwigałem; miałem sposobność do wyznania jawnego, wobec pogan, Chrystusa, i dania życia mego za Jego chwałę; pewny to paszport do błogosławionej wieczności. Byłem gotów, zdrów, spokojny, bez trwogi; oddałem się zupełnie w ręce Boże, modliłem się za moich drogich misyonarzy i za biednych naszych chrześcijan.

Około czwartej ktoś doniósł, że ulica już jest obsaczona, o ucieczce zatem nie było już co myśleć. Wkrótce potem wszczął się wielki hałas: słyszę roztwieranie drzwi, wybijanie okien, stąpanie wielu ludzi; cały dom otoczono.

Wchodzą do pokoju, w którym się znajduję. Chcę do nich przemówić, ale zaledwie mnie poznali, rzucają się jak wściekli, krzyczą, szarpią mnie za ręce, włosy, brodę, i ciągną wzdłuż dziedzińca do innej izby, gdzie już zastaję uwięzionych wszystkich moich domowników. Było tam ze dwudziestu siepaczy wraz z żonami i dziećmi, a to w celu uczestniczenia w rabunku.

Jeden z naczelników oddziału, Tyjang, przedstawia się i przemawia; na jego rozkaz zwalniają mnie nieco, już tylko za rękawy trzymamają, poczem każe mnie odprowadzić do mego pokoju, i mówi:

— Wiemy, że czterech innych Europejczyków tutaj jeszcze się znajduje, spodziewam się, że im wydasz polecenie niezwłocznego stawienia się tutaj.

— A skąd możesz wiedzieć—odrzekłem—że znajdują się tutaj misyonarze?

— Wiemy o tem najdokładniej.

Potem zaczął łajać siepaczy, którzy mnie targali:

— Biskup pójdzie z nami! — zwracając się do mnie, rzekł:

— Wiem, że używacie książki do modlitwy, powierz mi swoją, a zwrócę ci ją, gdy staniemy na miejscu.

Zdziwiony zapytałem:

— Skąd o tem wiesz?

— Ja sam aresztowałem biskupów Borneux i Daveluy, znałem ich dobrze, a także i innych ojców.

Następnie zapytał mnie, czy mam zegarek.

— Mam ich aż trzy, odpowiedziałem.

— Masz pewnie także i wino, z winnej rośliny, to takie smaczne, to już będzie dla nas.

Pokazałem mu swoje skrzynki.

— Dobrze, dobrze, my tu już o tem będziemy mieli staranie.

Przez ten czas usiłowałem skupić się cokolwiek w duchu, myśląc o pojmaniu Pana Jezusa w Ogrójcu. Cieszyłem się, że mogę wstępować w Jego ślady, ale bolałem na wspomnienie misyonarzy moich i biednych chrześcijan. Przygotowując się do uroczystości ś-go Franciszka Salezego, na parę dni przedtem myślałem o słodyczy i stałości tego wielkiego świętego i postanowiłem ćwiczyć się w tych cnotach.

Hałasy ciągle szerzyły się w moim domu, siepacze krzyczeli, śmiali się, żartowali, przetrząsali i przewracali wszystko; niektórzy naigrawali się ze mnie, pomimo zakazów naczelnika. Nareszcie przybył tenże z oznajmieniem, że czas ruszyć w drogę. Dwóch drabów porywa mnie, wychodzę otoczony tłumem zbirów; mój stary Korejczyk, w takiem samem otoczeniu jak i ja, idzie za mną, i jeszcze jeden młodzieniec, który się u nas znajdował w chwili pojmania.

Sąsiedzi, słysząc niezwykłe hałasy, wybiegali z domów, aby zobaczyć, co się dzieje; ale skoro wyszliśmy z tej części miasta, nikt na nas nie zwracał uwagi, tembardziej, że już noc była zapadła. Ludność roiła się o tej porze, przekupnie krzyczeli, dzieci goniły się, bawiły, śpiewały; kobiety, okryte długiemi, jaskrawemi osłonami, przesuwały się w milczeniu. Czasami przechodziła cała świta szlachty, poprzedzana liczną służbą, która biegnąc z krzykiem, rozpędzała przechodniów dla utorowania drogi. Widziałem także biedne dzieci opuszczone, zziębnięte, które siedząc na ulicy, głośnym płaczem starały się wywołać litość przechodzących.

Choć wiele razy byłem w stolicy, pierwszy jednakże raz mogłem się swobodnie rozpatrywać w jej ulicach, bez obawy zwrócenia na siebie uwagi szpiegów. Bolałem nad tym nieszczęśliwym ludem, nieznającym Boga. Przybyłem tu dla szerzenia światła wiary, wskazywania drogi do zbawienia, a oto już na samym wstępie uwięziono mnie. Chętnie ofiarowałem Panu życie dla zbawienia tego ludu.

Nareszcie przybywamy do bram trybunału; zapalają dwie latarnie, żołnierze stają we dwa rzędy, wiodą mnie środkiem.

Spostrzegam starego Jana; stoimy pod gołem niebem; przed nami drzwi papierowe. Drzwi się otwierają, w głębi spostrzegamy wielkiego sędziego i przełożonego policyi, siedzących na słomianych plecionkach. Rozpoczynają się badania.

Znając drażliwość Korejczyków, co do etykiety, postanowiłem nadawać moim odpowiedziom najgrzeczniejszą formę, używaną w wyższej klasie. Zaraz tedy na wstępie powiedziałem sędziemu:

— Pragnę mówić według przepisów waszego języka, ponieważ jednak nie władam nim biegle, nie zechciej zatem przypisywać złej woli tego, co będzie tylko błędem słowa.

Obecni spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, a sędzia zapytał:

— Po co tu przybyłeś?

— Dla nauczania religii chrześcijańskiej i dobrego postępowania.

— Czy już dużo ludzi nauczyłeś?

— Niedawno przybywszy, nie mogłem jeszcze wielu nawrócić.

— Kto cię tu przywiózł?

— Ponieważ ta odpowiedź mogłaby innym zaszkodzić, obowiązek nakazuje mi milczenie.

— Gdzie znajdują się ci, których nauczałeś?

— Mało znam kraj, nie wiem, gdzie mogą mieszkać wszyscy, których widziałem; zresztą dla wyżej przytoczonych powodów, nie mogę podać nazwiska żadnego Korejczyka.

— Czy jesteś kapłanem?

— Tak jest, a nawet więcej, jestem biskupem.

— A więc to niezawodnie ojciec Ri, który nam umknął dawniej, został teraz biskupem Ri?

— Prawdę mówisz.

— Niech go odprowadzą—rzekł w końcu—i niech się z nim dobrze obchodzą.

Sędzia zdawał się łagodny i uprzejmy; Jan, który go i później widział, bardzo był z niego zadowolony. Prawdopodobnie zauważono życzliwość jego dla nas, albowiem w kilka dni został usuniętym.

Prowadzą mnie na odwach; dozorcy nie dają mi wypoczynku i ciągle nużą pytaniami, które zbywam, jak mogę. Wreszcie wychodzą wszyscy, pozostawiając tylko dwóch na straży. Około północy podsuwają mi mały kloc drzewa, który mi za poduszkę ma służyć; mówię pacierz i zasypiam.

Nazajutrz, od samego rana, zasypywano mnie pytaniami i nie dozwolono spokojnie odmawiać brewiarza; postanowiłem jednakże nie zwra-

cać na nie uwagi; to skutkowało, i odtąd, podczas odmawiania pacierzy kapłańskich, nie usiłowali już zaspakajać swojej ciekawości.

Chciałem się dowiedzieć, która godzina. Sięgam po zegarek, zniknął. Odzywam się do naczelnika policyi:

— Wychodząc wczoraj z mieszkania, miałem zegarek, a dziś niema go w torbie, może zginął w drodze, może go kto znalazł?

Niby się zdziwił, ale słyszałem, jak mówił do swoich:

— Jaki to szlachetny człowiek! Skradziono mu zegarek, a on nikogo nie oskarża, ale mówi, że może go zgubił.

Rzeczywiście przypomniałem sobie, że człowiek, który mnie trzymał w drodze, za chwilę przyczepił się do mojej torebki; nie przyszło mi wówczas na myśl, że chciał mnie okraść. Z rana dopiero spostrze-



Torturowanie chrześcijan w Chinach i Korei, w r. 1866.

głem, że i scyzoryk, i grzebyk również zniknęły. Szczęściem, pozosta mi pierścień, który postanowiłem dobrze ukryć.

Wieczorem przeprowadzono mnie do innej izby i nałożono dyby. Są to dwa kawały drzewa, położone jeden nad drugim, 4 metry długie, a 15 centymetrów szerokie. W niższem są otwory, w które wkłada się nogi po kostkę, potem spuszcza się wyższą część za pomocą korby, na boku przytwierdzonej, i zamyka się kłódką. Dyby te nazywają się czak-ko. Jedną mi nogę tylko zamknięto; jakoś wstyd było moim dozorcom tak mnie krępować; chcieli to złagodzić, utrzymując, że zwyczaj wymaga tej formalności, gdy gości pierwszy raz tutaj przyjmują. Mogłem wyciągnąć się na wznak tylko, na bok trudno się było obrócić, i ledwo w parę godzin usnąłem. Najgorzej zawadzali mi dwaj towa-

rzysze, leżący opodal, którzy kręceniem się na barłogu usiłowali wypłoszyć toczące ich robactwo. Później dowiedziałem się, że byli to żebracy, zostający na usługach tajnej policyi.

Nie wiedziałem, co dalej nastąpi, ale w każdym razie nie łudziłem się nadzieją; los moich poprzedników był zapowiedzią, czego miałem się spodziewać.

31 stycznia usłyszałem parę słów tajemnej narady. Mówiono o egzekucyi, która nazajutrz odbyć się miała. W dzień trudno mi było o skupienie, ale noc spędziłem na przygotowaniu się do ostatniej, jak sądziłem, godziny życia mego. Oto zapiska, którą znajduję w rubryceli na dzień 1 lutego: „Zapewne za parę chwil umrę. Boże mój, Tobie się oddaję zupełnie. Żywie Chrystus, za chwilkę będę w niebie!"

Byłem gotów na śmierć, a chcąc dobrze użyć reszty czasu, śpiewałem psalm: *Laudate*, potem *Ave maris stella* i czekałem.

Tego dnia wypadały nadzwyczajne ćwiczenia wojskowe. Żołnierze wykonywali je na dziedzińcu, krzycząc przeraźliwie. Wszystko to utwierdzało moje domysły, a nie mogłem się potem dowiedzieć, czy dnia tego odbyła się jaka egzekucya.

Następny dzień był dniem nowego roku u Chińczyków. Zaprowadzono mnie do wysokiej izby, gdzie składaliśmy sobie wzajemne życzenia. Na noc nie włożono mi dyb; może to była względność moich dozorców, gdyż we dwa dni przyszedł rozkaz nałożenia mi ich napowrót.

Moi dwaj dozorcy zdawali się dosyć przychylni, słyszałem, jak jeden z nich mówił:

— Czy podobna, aby się z nim tak obchodzono! Wszak to uczciwy człowiek, równego mu nie znajdzie w Korei.

Nazajutrz dozorcy robili przedstawienia sędziemu:

— Nie godzi się kłaść dyb takiemu człowiekowi.

Na co sędzia odrzekł:

— I ja tak sądzę i lituję się nad nim, ale rozkaz wyszedł z góry, nie mam prawa do jego odwołania.

Dostałem silnego bólu głowy, gdyż w nocy zimno było dokuczliwe. Dano znać sędziemu.

— Zasłabł, a to bieda! nie kładźcież mu dyb, biorę go na swoją odpowiedzialność, miejcież o nim staranie.

Przysłał mi duży parawan do osłony; dano mi ziółek.

Wdzięczny byłem za te względy, ale nie wiedziałem, co mam o tem myśleć. Dowódca siepaczy dał mi nawet 12 sapeków (około 7 centów) na drzewo dla ogrzania izby; gdy je chciałem wręczyć, dozorcy nie przyjęli ich i sami za opał płacili. Jeden z nich dał

mi 5 sapeków na tytuń, a inny mały grzebyk. Wszyscy chwalili mnie ciągle: „Jaki on łagodny, skromny, uprzejmy a sprawiedliwy.“ Starsi zaś mawiali: „Biskupi Berneux, Daweluy i inni ojcowie, których znaliśmy, byli tacy sami; ci Europejczycy to są prawdziwie cnotliwi ludzie, o, nie tacy, jak Korejczycy! Nie lepiejby to było odsyłać ich do ich ojczyzny, niż ich tu zabijać!“

5 lutego wszczął się wielki hałas w zarządzie; nie pozwalano mi ani widzieć, ani dowiedzieć się, co to znaczy. Z westchnień i jęków, które dochodziły do nas, wnosiłem, że przyprowadzono nowych więźniów. Przyszło mi zaraz na myśl, czy to nie są chrześcijanie, i nie omyliłem się wcale.

Nazajutrz wyraźnie słyszałem sędziego, zadającego pytania: „Czy uczyłeś się od Europejczyków?“ Więziono zatem znowu chrześcijan! Iluż ich było? Co za jedni?

Później dopiero dowiedziałem się, że pojmano 18-letnią kobietę, od dziesięciu dni dopiero zamężną; była ona córką szlachetnego Korejczyka, Leona Ni, gorliwego chrześcijanina, który wielkie usługi oddawał misyonarzom. Młodą kobietę uwięzono wraz z mężem i umieszczono razem ze złodziejami.

Około 20 lutego przybyli nowi więźniowie, i znowu chrześcijanie; było ich już około 20, umieszczeni w okropnie wązkiej izbie, spakowani byli jak śledzie; z wyjątkiem kobiet, wszyscy byli zakuci w dyby.

Wkrótce będę miał sposobność pomówienia o więźniach, teraz wypada mi zapoznać was z dozorcami, z którymi od dwóch misięcy pomimowolnie przestaję.

Dwa są trybunały: prawy i lewy; każdy z nich ma mniej więcej 50 siepaczy i odpowiednią liczbę żołnierzy, wreszcie idą kaci: są to zwolnieni zbrodniarze, o potwornem obliczu, a potworniejszem jeszcze sercu.

Siepacze sądowi albo szpiedzy noszą rozmaite ubrania. Często przebierają się, w celu lepszego śledzenia. Są między nimi stopnie odpowiadające naszym podoficerskim i oficerskim; wszyscy podlegają prefektowi policyi.

Noszą przy sobie deseczkę, na której są napisy i pieczęcie, stwierdzające ich urząd. Władzę mają rozciągłą; biada temu, ktoby śmiał stawiać im opór; często wyzyskują oni swą władzę na korzyść osobistej zemsty lub chciwości. Lud drży przed nimi, nienawidzi ich, a szlachta pozwala sobie często ich i poturbować.

W ostatnich dniach grudnia 1877 r., czy też na początku 1878 r., jeden z siepaczy chciał porwać żonę pewnego wieśniaka. W tym celu porozumiał się z kolegami i oskarżył go o kradzież. Uwięziony, badany,

wzięty na tortury, wyznawał swą niewinność; powiększono dozę plag, nowe wymyślono męczarnie dla złamania wrzekomego uporu, ale napróżno; blizkim już był śmierci. Dopiero za świadectwem i wstawieniem się wszystkich mieszkańców okolicznych, został wypuszczony na wolność, ale w jakim stanie! Podobniejszym był do trupa, niż do żyjącego człowieka: skóra opalona, żebra obnażone z ciała, broda, rzęsy i brwi osmalone, nogi pokaleczone, kolana zgniecione. Czy po uwolnieniu przyszedł do zdrowia, nie mogłem się dowiedzieć.

Z tego możecie wnosić, jakie męki czekają chrześcijan, gdy się w ich ręce dostaną. W obecnem prześladowaniu sam prefekt policyi wskazał rodzaj mąk, które ich miały zmusić do wyjawień i apostazyi; były to mianowicie skręcanie rąk, nóg i zawieszania. Możecie sobie wyobrazić, co się działo w mej duszy, gdym słyszał jęki tych nieszczęśliwych, którym towarzyszyły szyderstwa i urągania katów!

Nie wszyscy jednak siepacze byli źli i okrutni, były między nimi wyjątki; niektórzy bronili mnie, ujmowali się za mną, romawiali, zadawali mi mnóstwo pytań. Po sto razy musiałem im opowiadać o państwach Europy, o Francyi, jej rozległości, oddaleniu; musiałem im tłumaczyć pory roku, zmiany księżyca, zaćmienia słońca; to znów rozpowiadać o kolejach żelaznych, parowych statkach i t d. Mogłem nawet wykładać im religię chrześcijańską.

Nie można się dziwić, że postępowanie chrześcijan musiało uderzyć każdego uczciwszego człowieka, bo jakżeż wyróżnia się ono od postępowania pogan! Kradną, jak tylko mogą, a kłamią zawsze. Kłamstwo jest specyalnością Korejczyka, a słowa plugawe, opowiadania bezecne, są powszechnie przyjęte; często wyrażają się znakami i migami. Z początku ich nie rozumiałem, ale gdy mi wytłumaczono znaczenie tychże, stanowczo wyraziłem moje oburzenie; na przyszłość byli już ostrożniejsi, a gdy nowy jaki przybysz rozpoczynał podobne rozmowy, zaraz go karcili, przynajmniej w mojej obecności.

Dobre wychowanie wymaga, aby przy rozpoczęciu rozmowy, zadawać sobie wzajemne pytania, odnoszące się do stosunków osobistych: „Jak się nazywasz? Ile masz lat? Z jakiego pochodzisz kraju? Czy żyją twoi rodzice? Czy masz synów, braci?“ i t. p. Te zwykle pytania, podobne do naszych „o pogodzie,“ były tylko wstępem do dalszych, niemających już końca, jakie im ciekawość wobec Europejczyka nasuwała. Stąd przez cały czas pobytu między nimi, nie przestawali zarzucać mnie, często najniedorzeczniejszemi pytaniami; niektórzy jednak czynili je rozumnie i chętnie słuchali moich odpowiedzi. Pewnego dnia, zupełnie seryo, pytali, czy nie mógłbym oddalić Japończyków, których się na wiosnę spodziewano; inną znowu razą, czybym nie zrobił statku parowego.

Podczas tych rozmów nie miałem wcale pozoru więźnia, a jednak istotnie byłem więzionym; niepodobna mi było ruszyś się bez świadków, dwóch dozorców strzegło mnie dniem i nocą.

Wkrótce po mojem uwięzieniu, obaj sędziowie, z prawej i lewej strony, zostali zmienieni; niebawem miałem sposobność poznania nowego sędziego, nazwiskiem Kim. Powołał mnie w nocy do swego trybunału. Siedział w swoim pokoju, od którego rozsunięto drzwi; ja byłem na dworze, otoczony kilku siepaczami. Badanie było nic nieznaczące; sądzę, że tylko chciał się przypatrzyć Europejczykowi. Między innemi zapytał mnie:



Chiny i Korea. Torturowanie chrześcijan za pomocą duszenia.

— Gdzie są inni misyonarze?

— Nie wiem nic; od piętnastu dni musieli się dowiedzieć o mojem uwięzieniu, i wyszukali zapewne dla się nowe schronienie.

— To prawda; nie możesz wiedzieć gdzie się obecnie znajdują, ale gdzie byli dawniej, gdzie mieszkali?

— Na to nie mogę odpowiedzieć, albowiem nie chcę się przyczyniać do pokrzywdzenia niewinnych; a gdybym i odpowiedział nawet, toby wam nie ułatwiło ich wykrycia.

— A co chcesz, aby z tobą zrobiono?

— Nie wiem co rząd postanowi; ale ponieważ pytasz mnie, więc ci powiem, że pragnę, aby mi wolno było pozostać w Korei, osiąść w stolicy i nauczać wiary chrześcijańskiej. Sami znacie ją dostatecznie; nie jest ona złą; przeciwnie, naucza dobrze czynić; ci, co ją wyznają, są ludźmi spokojnymi, uczciwymi; dając pozwolenie, rząd zyskuje dobrych obywateli.

— A jeżeli cię odeślą?

— Ja wcale nie pragnę wyjeżdżać, pozwólcie tylko, a zostanę tu całe życie; nadto zobowiązuję się dać przytułek, życie i wychowanie dzieciom opuszczonym w kraju, a wiesz przecie, jak wielka ich liczba.

— Czemu tak ręce zacierasz?

— Bo mi zimno w nocy stać na dworze.

— To ci zimno! Odprowadźcie go i niech się z nim dobrze obchodzą.

Potem wręczył dla mnie naczelnikowi siepaczy paczkę ciastek chińskich.

Co myślał, co robił rząd, trudno odgadnąć; widocznie w radzie nie było zgody. Słyszałem raz, jak pewien młodzieniec mówił:

— Wczoraj wieczór kłócili się bardzo w prefekturze policyi; do północy siedzieli, i nic nie uradzili.

— A o cóż to? — spytano.

— O tego Europejczyka.

Zdaje się, że podobne zajścia często się powtarzały; jedni chcieli mojej śmierci, inni byli za wysłaniem do Chin.

Mówiono mi, iż posłano zapytanie do Chin, względem tej sprawy; inni znowu inaczej utrzymywali: „Postanowią dopiero, kiedy sprowadzą tu wszystkich misyonarzy.”

Otoczony byłem ciągle siepaczami, czasem bywało ich ośmiu, czasem dziesięciu, a nawet więcej. Cały czas trawili oni na śmiechach, kłótniach, wrzaskach, na grze, i to od 6 lub 7 z rana aż do późnej nocy. Było to wielkiem mojem udręczeniem; w nocy tylko, korzystając ze spokoju, mogłem odprawiać medytacye; a jak trudno odmawiać brewiarz wśród tego gwaru!

Paki zabrane w moim domu, przyniesiono na odwach siepaczy; dużo rzeczy zginęło w rabunku, ale nawet i na odwachu, ile razy naczelnik otwierał te paki, obecni siepacze brali co chcieli, i przychodzili się mnie pytać, do czego służy ta lub owa rzecz. Raz przyniesiono mi sztabki połamane, z zapytaniem, czy są złote. Poznałem że były z mego krzyża biskupiego, a on go połamał i pewnie przetopił, bo już go więcej nie widziałem.

W więzieniu po raz pierwszy dowiedziałem się o igrzyskach, które się odbywają zaraz po nowym roku korejskim, a trwają cały miesiąc. Dwa zastępy, uzbrojone w kije na dwie stopy długie, każdy po 200 lub 300 ludzi, stają naprzeciw siebie. Na dany znak rzucają się, jedni na drugich, uderzają kijami na prawo i lewo, dopóki jeden z oddziałów nie ustąpi. Łatwo pojąć, ile tam guzów i ran, pokrwawionych szczęk, rąk i nóg, rozwalonych głów i połamanych żeber, a często i na śmierć zabitych ludzi! Te walki są jednem z najulubieńszych widowisk dla mieszkańców stolicy. Gdy zwracałem uwagę moich dozorców na barbarzyństwo tych igrzysk, odpowiedzieli mi z przechwałką:

— Na to trzeba być Korejczykiem, aby takie razy znosić i nie bać się śmierci.

Jednego roku walka była tak zacięta, iż ją rząd zupełnie zakazał, ale mimo to odbywała się ona, choć poza bramami stolicy.

— Gdyby ją Europejczycy widzieli — mówili do mnie dozorcy, — wielkie wyobrażenie powzięliby o nas; tylko Korejczycy zdolni są do tego.

Pomiędzy żołnierzami, zostającymi na odwachu, kilku oddawało się nałogowo pijaństwu; jeden zwłaszcza często w takim był stanie, iż nie mógł spełniać swych obowiązków. Od czasu do czasu wymierzano im sroższe kary, mianowicie plagi.

Zapraszano mnie nieraz na widza takiej egzekucyi, ale zawsze odmawiałem, litując się nad karanym; to śmieszyło dozorców.

Choć tedy nie byłem widzem naocznym, ale słyszane jęki i krzyki, połączone z opowiadaniem moich dozorców, uzupełniały mi całe przejście. Winnego rozciągano na słomiance, starszy czytał mu wyrok, oprawca deską długą na 8 stóp wymierzał razy. Nieszczęśliwy wydawał przeraźliwe krzyki boleści, starszy łajał go i przeklinał, żołnierze obecni, dla zagłuszania jęków, niemiłosiernie wrzeszczeli. Te krwawe plagi są mordercze, kilka uderzeń starczy do zdarcia skóry i poszarpania bioder; przy dziesięciu uderzeniach często już tracą przytomność i długich miesięcy potrzebują do zupełnego wyleczenia.

Szlachta i urzędnicy wyznają religią Konfucyusza, ofiary mu składają. Szczycą się tem wyznaniem i oskarżają Chińczyków o obojętność względem tego filozofa Nieraz mówili do mnie:

— My wyznajemy naukę Konfucyusza, innej nie potrzebujemy, ani mieć chcemy.

Czasami korzystałem z dobrego usposobienia moich dozorców, i dowodziłem im, że nauka Konfucyusza nie jest zupełna, ich ofiary dla przodków są często tylko komedyą i t. p.; czyniłem to jednak ostrożnie, bo Korejczycy są bardzo drażliwi w tym względzie. Chcąc ich nawracać, trzeba naprzód wyłożyć im naukę chrześcijańską, pokazać jej

wzniosłość, przywieść dowody; nigdy nie zaczynać od wykazywania im błędów ich wiary; to ich tylko upokarza i rozdrażnia. Nieraz mówiłem do nich:

— Piśmienni wasi wyznają Konfucyusza, Bonzy wyznają Fo, a lud wasz kogo wyznaje?

— To prawda, że u nas lud nie ma religii.

— A więc dozwólcie nam nauczać lud religii chrześcijańskiej; sami przyznajecie, że jest dobra, wyznawali ja nawet sami uczeni Korejczycy.

Na początku lutego i około 10 marca doniesiono o ukazaniu się okrętów europejskich; wszystko było w ruchu i trwodze.

12 marca powrócił naczelnik siepaczy z wyprawy na południe; twierdził on również, że okręty europejskie stoją u brzegów; przyprowadził on trzech chrześcijan, ale misyonarzy nie wytropił. Wskutek tego niepowodzenia, wielkie było niezadowolenie w tutejszym sądzie, a na mnie się skrupiło.

16 marca zauważyłem pewne zamieszanie, którego powodu odgadnąć nie mogłem. Byłem wówczas zamknięty w izdebce, której drzwi wychodziły na dziedziniec; dostrzegłem, że przyniesiono lektykę. Wchodzi naczelnik i mówi:

— Siadaj, biskupie.

— Dokąd pójdę?

— Dowiesz się, a teraz siadaj prędko.

Chciałem wziąć brewiarz.

— Nie bierz, ja go sam wezmę.

Siadłem do lektyki, dwóch tragarzy, w towarzystwie siepaczy, poniosło ją; jeden z dozorców przy wyjściu rzecze:

— Biedak, gdyby go byli choć do ojczyzny odesłali!

Nie wiedziałem, dokąd mnie wiodą, zresztą byłem gotów na wszystko; oddałem się z ufnością Opatrzności, pragnąłem tylko spełnić wolę Bożą.

Zatrzymaliśmy się przed wielkim budynkiem, drzwi były otwarte, wszyscy tam wchodzili, ale ja, jako więzień, musiałem przejść małemi drzwiczkami, przeznaczonemi dla kryminalistów.

Znajdujemy się w obszernym dziedzińcu, przez który się idzie do trybunału. Stawiają mnie w małym pokoiku na boku. Z kilku słów siepaczy zrozumiałem, że zostałem przeniesiony do lewego trybunału, ale z jakiego powodu?

Przeniesienie z jednego do drugiego trybunału, wskazuje zwyczajnie, że sprawa ma być przyśpieszona, lub prowadzona odmiennie. Oddawna już mnie nie badano, pragnąłem bardzo, aby już raz coś postanowiono.

Odwiedzało mnie dawniej wielu urzędników trybunalskich, ale ich o nic nie pytałem, spodziewałem się bowiem albo kłamstwa, albo wymijających odpowiedzi; dla dowiedzenia się prawdy, najlepiej jeszcze słuchać tego, co między sobą mówią.

Wkrótce też z tych rozmów dowiedziałem się, że miałem być sądzony przez kryminalnych sędziów z obu trybunałów, którzy też mają zaraz wydać wyrok. Prosiłem Pana naszego, aby mnie wspierał, i kładł w usta moje słowa mądrości, abym odpowiadał w Jego duchu, dla dobra tej nieszczęśliwej misyi.

Czy mi pozwolą zostać, czy też odeślą do Chin, a może i skażą na śmierć! To ostatnie zdawało się najprawdopodobniejsze, mogłem tedy



Chiny i Korea. Torturowanie chrześcijan za pomocą zamknięcia w beczce nabitej żelaznemi kolcami.

mieć nadzieję, że po kilku jeszcze dniach cierpienia, porzucę wreszcie troski tego życia, i poczną się cieszyć widzeniem Boga przez całą wieczność.

Wsparty łaską Bożą, na której nie zbywa w takich razach, czułem się silnym, oddałem się też zupełnie Bogu. Wokoło mnie dozorcy gadali, krzyczeli, śmiali się i palili. Po długiem oczekiwaniu dano znać, że sędziowie czekają.

Dozorcy z pośpiechem wyprowadzają mnie na dziedziniec, i oddają w ręce kata, który trzymał w ręku sznur czerwony, służący do wiązania wielkich zbrodniarzy. Sznur ten długi na dwa sążnie, na końcu

ozdobiony jest mosiężną głową smoczą i obrączkami z tegoż metalu. Kat wywiązał się ze swej czynności dość grzecznie i wprawnie; przeciągnął sznur popod ramiona, skrzyżował na piersiach, koniec jeden z ogonem smoczym przerzucił po za plecy, zań ujął.

Prowadzą mnie do sądu; lud nie był przypuszczony, ale było wielu żołnierzy i urzędników, chcących zaspokoić swą ciekawość. Idziemy wzdłuż szpaleru niższych sług policyjnych, do trzydziestu z każdej strony; ubrani są w białe spodnie, w czarne lub szafirowe kaftany, a uzbrojeni w grube kije, na 8 stóp długie, — to są kaci. Stawiają mnie na czemś podobnem do siennika, w środku dziedzińca.

Z przodu po obu stronach stoją przełożeni siepacze, obok pisarze, w głębi, na 10 kroków odemnie, dwóch sędziów z prawej a dwóch z lewej, siedzą na rogożach, jedwabne poduszki służą im do oparcia. Wszyscy w pełnem umundurowaniu, na głowach stożkowate nakrycia z włosienia, przystrojone wisiorami; niebieskie jedwabne suknie spięte pasami, bogato zdobnemi szyldkretem lub drogiemi kamieniami.

Sędzia z prawej strony, nazywa się Kim, poznałem go dawniej; twarz ma okrągłą, śmiejącą się, lat 40—50. Sędzia z lewej strony nazywa się Ni-kyeng-ha, on właśnie sądził biskupa Berneux i innnych naszych braci; wsławił się okrucieństwem w 1866 roku, ma lat około 60; tygrysie oczy zionące wzgardą i surowością, głuchy jest na wszelkie rady i prośby, sam o wszystkiem chce orzekać. Sędziowie siedzą, wszyscy obecni stoją, czekając na rozkazy sędziów, a raczej na rozkaz sędziego z lewej strony, bo on sam tylko głos zabiera; sędzia z prawej strony jest tylko, zdaje się, dodanym mu do pomocy.

Siepacze poczynają wołać na mnie:

— Klękaj.

Nie poruszam się i stoję.

— Na kolana! na kolana! klękaj!

Stoję ciągle. Sędzia patrzy na to zamieszanie, wreszcie zwracając się do mnie, mówi:

— Siadaj.

Natychmiast siepacze i kaci uśmiechnięci, jakby od nich wyszło to polecenie, wołają:

— Siadaj, siadaj!

Siadam na słomie, krzyżując nogi obyczajem korejczyków; rozpoczyna się badanie.

— Jak się nazywasz?

— Nazywam się Ri-Pok-Myeng-i.

Pok po korejsku znaczy Szczęsny, *Myeng i* światły; jest to zatem tłumaczenie mego imienia chrzestnego: Feliks-Clair. *Ri* zaś jest pierwszą zgłoską mojego nazwiska.

— Ile masz lat?

— Mam 49 lat.

— W którym roku rodziłeś się?

— Roku Kyeng-in (1830).

Zaczął rachować i mówi:

— Tak jest, on ma 49 lat.

— Wielu jest misyonarzy w Korei?

— Jest ich czterech.

Znano ich i często wymieniano nawet ich nazwiska.

— Gdzie się znajdują?

— Od dwóch miesięcy będąc uwięzionym, nie wiem gdzie są obecnie.

— Z kim tu przybyłeś?

— Naraziłbym kilka osób, gdybym wam dał niektóre wskazówki nie mogę zatem powiedzieć ani jak, ani z kim tu przybyłem.

— Jaki jest twój kraj rodzinny?

— Paul-lan-sya.

— Napisz to.

Daje mi papier i pędzelek, piszę: Paul-lan-sya—po korejsku; sędzia patrzy na mnie i mówi:

— Napisz to i w ojczystej mowie.

Piszę: *France*; uczułem zarazem ból w sercu na wspomnienie Francyi, biedny mój kraj!

— Czy piastujesz jaką godność w swoim kraju?

— Nie mam tam ani urzędu, ani godności żadnej.

— A jeżeli wrócisz do ojczyzny, czy ci tam dadzą jaki wysoki urząd, jakie miejsce zaszczytne?

Przybyłem do Korei, aby w niej pozostać do śmierci, gdybym nawet wrócił do kraju, żadnego urzędu tam nie otrzymam.

— Pokazano mi twój paszport, kto ci go wydał?

— Paszport otrzymałem w Pekinie, rząd chiński udziela paszporta wszystkim misyonarzom, aby mogli spokojnie kraj przebiegać.

— Jaka jest pieczęć na tym paszporcie?

— Sądzę, że to pieczęć rządu chińskiego.

— Ale czy to pieczęć kancelaryi rytualnej, czy jaka inna?

— Nie mogę na to odpowiedzieć, bo sam nie wiem.

— Czy sam prosiłeś rządu chińskiego o paszport?

— Nie ja prosiłem, ale minister francuski, rezydujący w Pekinie, wystarał się dla mnie.

— Jak się nazywa ten minister?

— Nazywa się Ludwik Geoffroy.

— Jak?

— Ludwik Geoffroy.

Obecni słuchali z natężeniem, chcąc to nazwisko powtórzyć, dziwnie przekręcali usta, a najbieglejsi wymawiali: Nuito-Sopon. Powtarzałem kilkakrotnie każdą sylabę dobitnie, nic to nie pomogło; sam nawet sędzia próbował, ale bezskutecznie.

— A ty dobrze wymawiasz korejskie wyrazy?

— Nie wymawiam ich jeszcze jak należy, bo i wam nieraz trudno es t zrozumieć, co mówię, ale jednak długo musiałem się uczyć i wprawiać; były dźwięki, których z początku zupełnie wymówić nie mogłem.

Po tej przerwie sędzia badał dalej, a następnie rzekł:

— Dosyć, odprowadźcie go!

Już odszedłem kilka kroków, gdy napowrót mnie przywołano. Sędzia kazał mi zatoczyć rękawy mego ubrania po łokieć, i przypatrywał się z uśmiechem moim rękom. Sądzę, że chciał widzieć kolor mojej skóry, lub też przekonać się o sile moich muskułów. Nareszcie wyprowadzają mnie, rozwiązują z czerwonego sznura i odstawiają na odwach.

Obaj sędziowie naradzali się do późnej nocy; wszystkie pokoje napełniała służba, niepodobna znaleźć spokojnego kącika, sen mnie morzył. W końcu mogłem nogi trochę wyciągnąć, a wsparłszy głowę o ścianę, usnąłem twardo, pomimo stuku, hałasu i krzyków.

W jakiś czas po tem badaniu, dowiedziałem się, że rząd był w kłopocie; jedni, jak i poprzednio, byli za karą śmierci; inni, i sam król nawet, wahali się: częste pojawianie się okrętów europejskich u brzegów rozsiewało trwogę.

Podobno w ten sposób motywowano moje uwolnienie: „To człowiek sprawiedliwy, nigdy nas nie oszukał, nic złego nie zrobił; lepiej byłoby odesłać go do ojczyzny, nie narażalibyśmy się tym sposobem na wojnę; ale ponieważ są chrześcijanie, co ich tu sprowadzają, trzeba wyrznąć wszystkich chrześcijan, aby temu raz tamę położyć.“

Wielki sędzia Ni-kyang-ha był temu przeciwny. Mówią, że twierdził, iż chrześcijanie tak są liczni, że się już nie dadzą wykorzenić z kraju; próżne tedy byłyby morderstwa.

Zastępca króla nie chciał się mieszać do mojej sprawy, dawni jego przyjaciele chcieli go przeciw nam pobudzić, ale on miał odpowiedzieć, że „to już do mnie nie należy, już nie mam żadnej władzy; zresztą lepiej byłoby patrzeć przez szpary na całą sprawę nie jest ona straszną dla rządu, przeciwnie, może na nas ściągnąć kłopoty z jego rządem, jeżeli go zabijecie.“

Królowa Min miała odezwać się: „Czemuż zabijać tego człowieka, kiedy on jest niewinny? Jakiż przykład dla naszych dzieci, jeżeli niewinny zarówno z przestępcą śmiercią karany będzie!“

Ile było prawdy w tych pogłoskach, niewiadomo ,rzeczą jednak było widoczną, że nie wiedziano co ze mną począć.

Po badaniu pozostawiono mnie z siepaczami w izdebce obok więzienia; zaznajamiałem się z miejscowymi urzędnikami: wydali sie równie kłamliwi, a nawet bardziej jeszcze przewrotni i fałszywi. Niepodobna wyobrazić sobie, jak ciężko żyć z ludźmi, którzy przeistaczają wszystkie swoje myśli, przysięgą stwierdzają rzeczy, o których fałszu są przekonani.

16 marca naczelnik miejscowy odebrał list, siepacze podawali go sobie jeden drugiemu, czytali i coś szeptali między sobą; domyślałem się, że on ma związek z moją sprawą. Co trzy dni zmieniano naczelnika; tegoż wieczora przybył nowy. Uwiadomiono go o treści listu:



Chińczycy-chrześcijanie w czasie pokoju przy posiłku.

— Jak to, zawołał, dziś rano jeszcze wszystko szło dobrze, czyż zmieniono zdanie? Ale to być nie może, pokażcie pismo.

Przeczytawszy, pyta:

— O której godzinie nadszedł list?

— Popołudniu.

— Dziwna rzecz, wprost przeciwne otrzymałem rozkazy.

Niebawem jeden z dozorców odzywa się do mnie:

— Nie zostawią cię tutaj spokojnie, sędzia chce cię przenieść do innego mieszkania.

— A gdzież mnie umieszczą, po której stronie?

— Po tej tu.

— A więc ze złodziejami?

— O, nie!

— Czy będę sam?

— Nie, ja będę ci towarzyszył?

Nie ulega zatem wątpliwości, że przeniosą mnie do więzienia złoczyńców.

Rzeczywiście wieczorem naczelnik wydał rozkaz przeprowadzenia mnie. Dozorca wyszedł pierwszy, otworzył drzwiczki, jesteśmy na dziedzińcu; następnie prowadzi do izby wskazanej przez naczelnika. Co za niespodzianka! Pierwsza osoba, którą spotykam, jest mój stary Jan Czoi, którego oddawna miałem za umarłego. On również niemniej się zadziwił i kilkoma słowami odpowiedział na moje zapytania. Wskazano mi przeznaczone miejsce; więźniowie musieli się ścisnąć, a jeden z nich okazał niezadowolenie. Spostrzegłszy to, dozorca począł go niemiłosiernie okładać kijem; starałem się go ułagodzić, ale to nic nie pomogło. Wreszcie dozorcy się oddalili i zostawili nas samych.

Chciałem się rozmówić z Janem, ale on usuwał się od rozmowy i raz tylko szepnął mi:

— Wszyscy tu jesteśmy chrześcijanie, oprócz tego starego poganina, który tu jest dlatego, aby nas szpiegował; nie można więc nic mówić, mianowicie o rzeczach religii.

Teraz zrozumiałem postępowanie Jana, spytałem go głośno:

— Jakie tu są przepisy?

— Przepisy—odparł—siedzieć na słomie i milczeć.

Usiadłem, mogłem nawet uklęknąć, zmówić pacierz i usnąć. Obudziłem się nazajutrz, przede dniem, zobaczyłem Jana, który już się modlił, korzystając ze zmroku.

Muszę was teraz zapoznać z mojem nowem więzieniem, z nowymi dozorcami i towarzyszami.

Więźniowie byli podzieleni na trzy kategorye: złodzieje, dłużnicy i chrześcijanie; myśmy byli najliczniejsi. Każda kategorya osobne miała pomieszczenie. Złodziejom najgorzej, jest ich ze 30, dzień i noc nogi w dybach, wszyscy prawie chorzy, świerzb ich pożera, rany gniją, wynędzniali z głodu, skóra i kości tylko, zaledwie zdolni są do postąpienia kilku kroków, kiedy im dozwolą przejść się wśród dnia. Nie można sobie wyobrazić straszniejszego widoku. Dozorcy wysilają się na ciągłe męczenie więźniów; w nocy każą im śpiewać, wrzeszczeć, a kiedy znużeni zasypiają, wówczas biją ich dla przerwania snu. Ileż to razy słyszeliśmy, jak ci zajadli, często pijani oprawcy, pastwili się nad tymi nieszczęsnymi, już i tak ledwie żywymi; wieluż to z nich skonało pod razami! Kiedy śmierć nastąpi składają raport, że ten a ten

umarł wskutek choroby, i wszystko skończone; ciało przenoszą do trupiarni, a następnej nocy wyrzucają do lasu. Ci nędzarze w samem więzieniu są prawie całkiem nadzy, przy wyjściu przepasują sobie biodra zgniłą jaką szmatą; za wielką poczytują sobie łaskę, gdy im w cuchnącej kałuży dozwolą umyć ręce. Są między nimi i wielcy zbrodniarze, ale największa część odsiaduje tu za drobne tylko kradzieże; chcąc wyłowić złodziei, należałoby zacząć od samych dozorców.

Pożywienie ich stanowi mały kubek ryżu rano i wieczór bez żadnej zaprawy; jest to niedostatecznem, stąd też i najzdrowsi, po kilkunastu dniach wysychają jak szkielety.

Pożywienie chrześcijan jest takie samo jak złodziei; mnie i Janowi wyjątkowo dawano nadto jeszcze kubek polewki w południe; nie mogą mieć stosunków na zewnątrz, ale nie zakuwają ich zwyczajnie w dyby, przynajmniej w więzieniu po lewej stronie.

Nasza kaźnia była taka jak i inne; jedynym otworem były drzwi zamykane na noc, nad temi mały otwór zakratowany, którym wchodziło trochę światła i powietrza. Ściany obite popękanemi deskami lipowemi, słoma na podłodze; gdy przybyłem dorzucono garść świeżej słomy do dawnej zbutwiałej i cuchnącej. Jan jednocześnie ze mną przeniesiony z więzienia z prawej do lewej strony, znajdował je lepszem, mówił nam, że tam chrześcijanie pozostają razem ze złodziejami, i tak są ściśnięci, że się ruszyć nie mogą. Wszyscy są w dybach, trzy czy cztery razy brano go tam na tortury.

W głębi kaźni był stary poganin, szlachcic, uwięziony od 10 miesięcy za bunt; utrzymywał, że był niewinnym. Wypuszczono go też niebawem. Charakteru był złośliwego i dał się we znaki chrześcijanom; znieważał naszą religią. Mówiono, że się zmienił od naszego przybycia, jednak cierpieliśmy wiele od niego. Syn odwiedzał go u drzwi więzienia, a stąd mogliśmy czasem dowiedzieć się czegoś nowego. Trzech chrześcijan sprowadzono z prowincyi Czyjung-cziang; byli to ubodzy ale silni rolnicy; po dwóch tygodniach wynędznieli z głodu do niepoznania; udzielaliśmy im niekiedy pokryjomu trochę naszego ryżu. Po trzykroć brano ich na tortury, z powrotem nie mogli utrzymać się na nogach, ani oddychać, później przeniesiono ich do więzienia złodziei, wkrótce dwóch z nich umarło z głodu i złego obejścia.

Znajdowały się w naszem więzieniu trzy chrześcijanki ze stolicy, jednocześnie z nami uwięzione, jedna z nich dostała tyfusu, który ustawicznie panuje w więzieniu. Po wyjściu za mąż nawróciła się i do Chrztu przygotowała męża i jego rodziców; uwięziona i wzięta na tortury, zapierała się chrześcijaństwa, ale od naszego przybycia szczerze ża

łowała swego postępku. Ile razy znalazła sposobność, okazywała żal, żegnała się. Razu jednego powiedziała do pielęgnującej ją chrześcijanki:

— Moja choroba, to nieszczęsne moje grzechy! Jakżeż ja ciężko zawiniłam...

Nie mogąc wysłuchać jej spowiedzi, kazałem ją uprzedzić, że jej dam rozgrzeszenie. Przygotowywała się doń od rana, za umówionym znakiem wymówiłem formułę. Jakże była uszczęśliwiona! najlepsze to było na jej chorobę lekarstwo. Niebezpieczeństwo minęło, zaczęła przychodzić do zdrowia. Nigdy nie mogłem z nią mówić, podziwiałem jednak nieraz jej pobożność, ufność w Bogu, jasność umysłu. Mąż jej, uchodząc za poganina, wyjednał u dozorców, że mógł rozmówić się z nią czasem. Dwie inne, były to stare, ubogie kobiety; wszystkie trzy brano na tortury, ale więcej jeszcze cierpiały z powodu ohydnych mów i dowcipów, tak katów jak i sędziów.

Na dwa dni przed moim przybyciem umarła w więzieniu chrześcijanka, Katarzyna, żona starego Marka, który był katechetą w stolicy. Oskarżył ją własny synowiec, zdrajca Paweł Hpi, którego wychowała. W kilka dni po moim przybyciu, wyniosiono dopiero jej zwłoki z trupiarni; jeden ze strażników opowiadał ze śmiechem, że „tylko kości pozostały z tego trupa, szczury i łasice wszystko pożarły;" inni dodawali: „zabawna rzecz, a jednak słuszna, aby tych podłych chrześcljan pożerały łasice.“ Chrześcijanie odmawiali pacierze za biedną nieboszczkę, pomnąc, że lada dzień ten sam los ich czeka.

Naczelnik dozorców dosyć był dla nas życzliwy i często, przed zamknięciem bram, wieczory z nami spędzał. Nieuczony, nawet niepiśmienny, ukrywał rzeczywiste zalety pod srogością zewnętrzną. Od 20 lat spełniał ten urząd, zawsze ślepo sluchał przełożonych, a od swoich podwładnych wymagał także posłuszeństwa. Nauczany nieraz przez Jana, uznawał piękność nauki chrześcijańskiej, ale nie miał odwagi porzucenia błędów pogańskich. Istotnie sprzyjał nam, nigdy się z nami źle nie obchodził, miał nawet dla nas litość; jednakże pewnie nie wahałby się ani chwili ze spełnieniem na nas wyroku śmierci.

Zapytałem go raz, czy widywał dawniej chrześcijan.

— Widywałem bardzo wielu—odrzekł.

— Czy to byli dobrzy, spokojni ludzie?

— O, najlepsi w świecie, łagodni, spokojni, nigdy źle o drugich nie mówiący, nie łajali nigdy.

— Wielu ich tu wymordowano?

— Więzienie było nimi przepełnione, dla braku miejsca codzień dusiliśmy ich pewną liczbę; nie trzymano ich też tu dłużej nad dwa lub trzy dni.

Inni dozorcy pastwili się nad więźniami, kiedy tylko mogli. Widziałem z jakiem zadowoleniem spełniali urząd katów; dla nich udusić człowieka, to zabawka. Często, bez żadnego powodu, bili złodziei, i aby naczelnik nie słyszał zadawanych razów, kijem ostro żelazem zakończonym, kłuli nieszczęśliwych. Pewien chrześcijanin w gorączce prosił o trochę wody. „Damy ci wody, łotrze ochrzczony, czekaj!“ i tak mu piersi pokłóli, że we dwie godziny skonał. Ciało wyrzucili za mury miasta, a nikt nie troszczył się o sprawdzenie przyczyny śmierci więźnia.

Niepodobna zdaje się znaleźć gorszych i podlejszych ludzi, a są przecież; tymi są niżsi służalcy, a raczej kaci. Biją, mordują, ze skóry obdzierają, łamią ręce i nogi, śmiejąc się i żartując z jęków ofiar. Na sam ich widok drżą więźniowie. Jak też człowiek spaść może na tak



Chiny. Mandaryni i sędziowie.

nizki stopień spodlenia i okrucieństwa. Prawdę mówił jeden stary chrześcijanin, że więzienia Korei to istny obraz piekła; mówię więzienia, bo wszystkie, zdaje się, są jednakowe; a z tego, co o nich słyszałem wnoszę, że prowincyonalne gorsze od stołecznych. Tam nasi chrześcijanie w gorszej zostają pogardzie niż złodzieje; cnoty ich wprawiają w większą wściekłość dozorców i katów: odkąd zostali chrześcijanami, przestali być Korejczykami, a nawet ludźmi.

W takiem to więzieniu przebywałem, pragnąc tam i umrzeć dla chwały Boga; wiele tam ucierpiałem, ale i pociechy doznałem wielkiej, patrząc na naszych chrześcijan. Nigdy nie wymknęło im się grubijaństwo żadne, ani nawet złe wyrażenie; modlitwą dzień rozpoczynali, w ciągu dnia rozmyślali o Bogu, a wieczorami długie odmawiali pa-

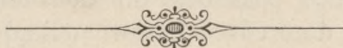
cierze. Dobrze się modlić w więzieniu. Bóg zda się bliższym nas, lepiej się poznaje własną nicość.

Wyznaczyłem sobie pewien porządek dzienny. W duchu odmawiałem Mszą Ś-tą lub byłem jej obecny; nie mając brewiarza, zastępowałem go różańcem i drogą krzyżową. Ileż łask udzielił mi Pan w tych czasach, żadnego nie doznawałem niepokoju, zdawałem się całkowicie i we wszystkiem na wolę Boga, głęboko to czułem, że nic mi się nie stanie bez jego woli.

Tak zeszło do świąt wielkanocnych, a ponieważ został mi pierścień biskupi, który chowałem w woreczku, w samą wielką niedzielę oznajmiłem chrześcijanom, że im udzielę uroczystego błogosławieństwa; ale trzeba było znaleźć chwilę swobodną, siedział bowiem z nami bonza i stara poganka. Bonza nam nie zawadzał, zawsze drzemał, poganka wyszła szczęściem na chwilę, chrześcijanie wnet uklękli i udzieliłem błogosławieństwo; taka była nasza Wielkanoc, wszyscy byli uradowani i dzień przeszedł w żarliwości ducha. Błogosławieństwu biskupa w więzieniu korejskiem towarzyszy pewnie łaska Boża, utwierdza i pociesza. Potrzebowaliśmy łaski do znoszenia cierpień, tyle ich ciągle doznawaliśmy rozlicznych! Musieliśmy ciągle nosić to samo odzienie, brudne, zużyte, podarte; robactwo nas toczyło, pełno szczurów widzieliśmy we dnie a słyszeli w nocy, roiły się i igrały swobodnie, bo zabobon zabrania tępić, a cuchnąca nasza słoma była dla nich bezpiecznem schronieniem. Nie mieliśmy ani noża, ani scyzoryka, a długo nawet i igły; a gdyśmy ją dostali, nie było nici, i aby tych dostać, wysnuliśmy ich trochę z pozostałej resztki ubrania po zmarłej w więzieniu chrześcijance.

Aby nie zapomnieć dni tygodnia, wypisywałem węglem na ścianie niedziele w miarę jak następowały, o mało żem się nie pomylił w niedzielach postu, szczęściem jednak przypomniałem sobie, że Wielkanoc wypadała 21 kwietnia.

(D. c. n.)



Historya illustrowana Kościoła Świętego

RZYMSKO-KATOLICKIEGO

w obrazach i życiorysach.

Obraz XIII.

„Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy"

Jest to przez A. E. Odyńca, utalentowanego poetę, druha Adama Mickiewicza skreślony obraz wiary, pobożności i stałości chrześcijańskiej. Podajemy co najpiękniejsze wyjątki z tego natchnionego utworu ku pożytkowi duchowemu naszych czytelników.

SCENA V.

Ciemna, sklepiona budowa, oświecona kagańcem, zwieszonym ze środka sklepienia. W głębi ołtarz, w kształcie stołu, przy którym dyakonowie i dyakonise łamią chleb i rozdają obecnym: dyakonowie mężczyznom, dyakonise kobietom, całując i uściskując przyjmujących. Na przodzie przed stołem stoją:

Satuz, Deodatus, Artaxiusz i Kwintus.

Hymn chrześcijan.

Ojcze nasz, Stwórco, Boże na niebie!
Serc naszych miłość, ust naszych śpiew,
Duch Ci nasz, Panie, święci sam siebie,
Lecz Ty je uczyń godnemi Ciebie,
Przez Twe najświętsze Ciało i Krew.

Świat powstał na nas; do Twego celu
Iść groźny jego broni nam gniew.
W pokorze serca, w ducha weselu,
Daj nam go znosić, o, Zbawicielu!
Przez Twe najświętsze Ciało i Krew.
Gdy płomień bucha, gdy miecz się sroży,
Gdy wściekły na nas miota się lew:
Ty spraw, o, Panie! niech nas nie trwoży,
Ty nas pokrzepiaj, Baranku Boży,
Przez Twe najświętsze Ciało i Krew!

(Podczas śpiewania hymnu dyakonowie i dyakonise kończą obrzęd łamania chleba i zajmują się rozebraniem stołu).

Satur.

Bracia! ofiara skończona. Pan z wami,
I pokój!

Chrześcijanie.

Amen!

(rozchodzą się w różne strony).

SCENA VI.

Satur, Deodatus, Artaxiusz, Kwintus.

Satur.

Ze wszech stron z listami
Przybyli bracia; a z wszystkich ich treści,
Jak w ludzkie serce płynie zdrój boleści,
Tak chrześcijańskich dusz rośnie otucha,
Że Pan da tryumf mocy Swego ducha,
I prędzej później, liść palmy męczeńskiej
Zwiśnie na krzyżu, jak wieniec zwycięzki.

Deodatus.

Ach! czyż nie pora, ojcze! czyż nie pora,
By się już stało, co się stać powinno?
Długoż, podobny do gladiatora,
Świat, jak on w cyrku będzie krew niewinną

Lał, lub nią spływał, dla sprosnej uciechy
Spodlonej Romy, co z dzikiemi śmiechy
Klaszcze i wrzeszczy, nie czując, że razem
Nad własnym swoim urąga obrazem,
Gdy jak za wozem tryumfu wleczona,
Idzie na pastwę igrzyskom Nerona.
Ojcze! któż temu wreszcie kres położy,
Jeżeli nie my, nie przez nas Syn Boży,
Co nas z piekielnej niewoli łańcucha
Wyrwał, nauczył czuć swobodę ducha,
I za cel wskazał pomiędzy bliźniemi,
Królestwo Swoje rozszerzać na ziemi.
Ojcze! tyś święty w kościele; twe słowo,
Życie i siłę może tchnąć w myśl nową.
Tysiące braci, jak dziś na męczeństwo,
Czyżby nie radziej biegli na zwycięztwo,
By z mocy piekieł Niebu podbić ziemię,
I stargać więzy, które ludzkie plemię
Wlec jeszcze musi przez wiekowe lata,
Nim je przegryzie rdza krwi i łez świata?

Satur.

O, Deodacie! w duszy twej Rzymianin
Nazbyt żyw jeszcze, aby obok niego,
Jak w Rzymskiem państwie nawy chrześcijanin,
Mógł ożyć w pełni życiem mistrza swego.
Jako duch z ciałem, tak węzły mocnemi,
Serce człowieka do rodzinnej ziemi
Sam Bóg przywiązał: lecz jako duch w ciele,
Z pomocą ciała, wyższe, Boskie cele
Pełnić tu winien, aby z nim i ciało
Na nieśmiertelne życie zmartwychwstało:
Tak chrześcijanin w ojczyznie widomej,
Nie służyć tylko jej chwale znikomej,
Lub grzesznej pysze: lecz całą swą siłą
Czynić ma, Bogu by się stała miłą.
A w jakich cnót ją chce widzieć ozdobie,
Takie ma naprzód rozwijać sam w sobie.
Wonczas, jeżeli Pan przyjmie te chęci,
W pomoc mu zejdą aniołowie święci,
Słowom i czynom jego, Boską władzą,
Nad ludźmi siłę Boskiej woli dadzą,

Aż na wzór jego, stanie naród cały
W wieńcu tryumfu i cnotliwej chwały.
Lub gdy lud jego zasłużył na karę,
Pan za błagalną przyjmie go ofiarę,
I da mu porę, że jako Syn Boży,
Sam zań swą mękę albo krew położy:
Lecz w krwi tej będzie dla jego plemienia,
Moc oczyszczenia i moc odrodzenia.
Bo kto kraj w Bogu ukochał, Bóg cudem
Żyć będzie przezeń między jego ludem;
Bóg, co na szalach kary i nagrody,
Sam tylko wznosi i zniża narody.
Nie nam więc skracać skryte drogi Pańskie,
Nie nam przyśpieszyć, co snadź On odwleka.
Zbrójmy się tylko w cnoty chrześcijańskie,
W sobie i w bliźnim Boga, a człowieka
Kochajmy w Bogu: i dzieł tej miłości
Nie skąpmy, każdy wedle koła swego;
Zbierze je ręka Jego Wszechmocności,
I z nich się złoży dzieło łaski Jego.
Jeśli więc wierzysz, jak i ja wierzę,
Że krzyż nad światem ma być wzniesion w Romie,
Wierz też, że kogo Pan na to wybierze,
Znak mu swej woli objawi widomie.

SCENA VII.

Jeden z chrześcijan.

Chrześcijanin.

Ojcze! dwie jakieś niewiasty w zasłonie,
Chcą mówić z tobą tajemnie: — a w tonie
Głosu tej, która mówiła, i w drżeniu
Drugiej, milczącej, znać pośpiech i trwogę.

Satur.

Niech wnijdą!

(Chrześcijanin odchodzi).

(na stronie).

Panie! tyżeś w widzeniu
Woli mi Twojej chciał ukazać drogę?

(głośno).

Bracia! nie chciałem trwożyć was przedwcześnie,
Ni sam brać władzy proroczego ducha;
Lecz mi dziś dano objawienie we śnie,
Którego duch mój mimowoli słucha.
Przyjście tych niewiast każe mi, że muszę
Mówić wam o tem: bo gdyby się stało
Com widział: — trzeba, aby wasze dusze
Czuły w tem wolę Boga, i w nim śmiało
Ufały, wiedząc, że czuwa nad wami.
Usnąłem wczoraj z cichemi myślami,
Z rozradowaniem nawet, w skutek treści
Krzepiących z Romy i z Azyi wieści.
W tem, zdało mi się, że na me wezgłowie
Zszedł z góry Anioł, w postaci dziewicy:
Zna ją, i wkrótce nauczoną w Słowie
Miałem ją przywieść do Chrztu tajemnicy.
W prawicy miała pochodnię, od której
Dziwny blask kręgiem twarz jej opromieniał;
A w drugiej ręce, wzniesionej do góry,
Zgięty jak w wieniec, liść palmy zieleniał.
Milczała, ale słodyczą w spojrzeniu,
Jakiej głos ludzki wysłowić nie może,
Wstrzęsła pochodnią; — i wnet, w okamgnieniu,
Płomieniem moje okryło się łoże.
Jam się przebudził, i już resztę nocy
Trwał na modlitwie.
Bracia moi mili!
Jeśli Bóg zechce doświadczyć mej mocy,
Bądź wola Jego! — lecz w tej strasznej chwili,
Bracia! ja starzec, grzesznik z krwi i ciała,
Nie ufam sobie: — proście Pana w Niebie,
Aby Mu we mnie była cześć i chwała.
Proście Go za mnie... i może za siebie,
Jakom ja za was, wasz Pasterz, Go prosił.

(do Deodata).

Byś dotrwał mężnie, jako rycerz wiary,

(do Artaxiusza).

Byś śmiało zawsze Prawdę Pańską głosił,

(do Kwintusa).

A ty, byś świętej dopełnił ofiary.

A teraz, bracia! przebaczmy wzajemnie,
I wrogom naszym — jako Pan na krzyżu.

(ściskają się).

(postrzegając wchodzące niewiasty).

Idźcie! — z niewiasty chcę mówić tajemnie,
Ale tu na mnie czekajcie w pobliżu.

(Deodatus, Artaxiusz i Kwintus odchodzą).

SCENA VIII.

Satur, Felicyta, Krystyna, (obie w zasłonach).

Felicyta.

(rzucając się do stóp Satura).

Ojcze mój, ojcze!

Satur.

(podnosi ją i uchyla zasłonę).

Powstań! — Felicyta!

(opuszcza zasłonę, i wznosząc oczy i ręce ku niebu, na stronie).

Stało się! oto sługa Twój, o, Panie!
Myśl serca mego przed Tobą odkryta,
Jak chcesz i każesz, niech mi się tak stanie.

(do Felicyty).

Córko! wiem, smutne przynosisz mi wieści.

Felicyta.

Przebacz, ach! ojcze! przebacz mej boleści,
Przebacz grzesznicy — że staje przed tobą,
Wiedząc, że może śmierć wiedzie za sobą.

Satur.

O! nie, nie! córko! nie! tyś w tem niewinna.

Felicyta.

Ja czynię, zda się, com czynić powinna,
Lecz ty sam chyba, ty jeden, mój ojcze!

Zdołasz ukoić zgryzoty zabójcze,
Co jak mieczami szarpią moją duszę.
Słuchaj mię, ojcze! bo wszystko ci muszę
Wyznać — ach! wszystkie uczucia i grzechy,
By żebrać rady i może pociechy.
Wiesz już, mój ojcze! że nim światło nieba
Bóg nasz przez ciebie objawić nam raczył,
Rodzic mój ze krwi, arcykapłan Feba,
Mnie na kapłankę Dyany przeznaczył,
Ażbym hymena mogła zawrzeć śluby.
Czas to był właśnie, gdy próżność i pycha
Z wszystkiego w sobie szukały swej chluby.
Blask chwały ojca i uroda licha,
I — com wierzyła być łaską bogini —
Dar wdzięcznej lutni i pieśni z natchnienia
Sprawiały we mnie, że służąc w świątyni,
Sama się brałam za cel uwielbienia.
I w uwielbieniu drogich moja dusza
Czerpała rozkosz, krórą świat mię łudził.
Tak było długo, nim... (urywa).

Satur.

Cóż cię tak wzrusza?
Mów śmiało!

Felicyta wyznaje, że kocha Olimpiusza, że jest chrześcijanką, że ojciec jej nakazuje stać na czele chóru, który będzie oddawał cześć boską bałwanom pogańskim, poczem mówi, wskazując na stojącą w oddaleniu Kryspinę:

Oto jest ona, ojcze mój! ta, której,
Jak życie ziemskie mej matce z natury,
Tak winnam pierwsze tchnienie życia wiary, —
Ona piastunka moja od powicia;
Jej matka moja, czując koniec życia,
Zbawienia mego zleciła zamiary,
I sama przez nią umarła ochrzczona.
Ale nic o tem nie wiedziałam wprzódy;
Bronił jej mówić, najprzód wiek mój młody,
A potem próżność i pycha szalona.
Ale w chorobie — jej czułość matczyna,
Pamięć dzieciństwa, posłuszeństwo słowu
Straconej matki serce moje znowu

Zwróciły ku niej; — i odtąd jedyna
Ulga mej duszy była z nią w rozmowie,
W zwierzaniu przed nią wszystkich mych boleści:
Znalazłam echo w jej duszy niewieściej,
I głos zbawienia poczułam w jej słowie.
Ojcze! tyś reszty dokonał; tyś wiarę
Moją oświecił; tyś oznaczył drogę
Myślom i sercu; tyś wskazał ofiarę,
Którą uczynić chciałam — i nie mogę.
Słuchaj, o! słuchaj wyznania grzesznicy!
Mimo mej krzywdy, mimo tych katuszy,
Com zniosła przezeń; ach, mimo różnicy
Wiar naszych — ojcze! on zawsze w mej duszy.
Dzisiaj to, dzisiaj poczułam najsrożej,
Dziś, w strasznej chwili, gdy głos woli Bożej
Rzekł mi wyraźnie: że się wyrzec trzeba
Lub całkiem ziemi, albo całkiem Nieba.
Ojciec mi wczoraj objawił swe chęci,
Bym dziś chór znowu wiodła przy obrzędzie,
Którym Kartago tryumf Romy święci.
Chciałam się oprzeć, — lecz w gniewu zapędzie,
Co w nim nie z myśli, nie z serca, nie z ducha,
Lecz z krwi Libijskiej zbyt łacno wybucha,
Kazał mi milczeć i słuchać.
Ach, ojcze!
Jak ci wysłowić te straszne katusze,
Te walki serca, te myśli zabójcze,
Co przez noc całą miotały mą duszę.
Słowa modlitwy oniemiała trwoga,
Głos wiary uczuć mąciła zawiłość;
Płakałam ojca, lękałam się Boga,
Drżałam na obraz męczarni: — lecz miłość,
Miłość, ach! czułam, że była dla niego.
Jedna mię tylko krzepiła otucha,
Że ojciec jeszcze próśb moich wysłucha,
Lub ty mię wyrwiesz z mocy ducha złego.
To był ostatni środek i jedyny
Zbawienia mego; — lecz Bóg jest świadomy
Mąk mej bojaźni, by na cię z mej winy
Nie spadła pomsta kapłanów i Romy.
Ojciec, niestety! — gniew go tak zatwardził
Na głos natury — odepchnął mię, wzgardził

Prośbami memi; — cóż mogłam inaczej?
Uledz? lub jawnie złamać posłuszeństwo?
Wyrzec się Boga? lub iść na męczeństwo,
Bez żadnej siły w duszy — prócz rozpaczy?
Ach! i ta rozpacz — wyznaję ci, ojcze!
Wyznaję, co już zapisano w Niebie:
Był straszny moment, iż by zbawić siebie,
Szatan tchnął we mnie myśli samobójcze. —
Bóg strzegł mię przez nią.

(wskazuje na Kryspinę).

Ona mi podała
Sposób ujść skrycie z przybytków świątyni. —
Teraz jam z światem na wieki zerwała,
Pan dalej przez cię niech wolę swą czyni.
Ty sam sądź, ojcze, czym godna chrztu łaski;
Ty radź, ty wspieraj, ty wskazuj mi drogę,
Gdzie iść: — bo tutaj pozostać nie mogę.
W Tebańskie stepy, czy w Libijskie piaski,
Wyślij nas, ojcze! gdziebym mogła przy niej
Wiek mój w pokucie strawić na pustyni,
Aż Bóg — lecz, ojcze! uspokój mą trwogę,
Ukój zgryzotę! — naucz mię, czy mogę
Prosić go za tych, co kocham na ziemi,
By ich oświecił — i mnie złączył z nimi...

Satur.

Błogosławionaś, córko! coś już tyle
Zniosła dla Pana! O! co bądź wypadnie,
Pan będzie z tobą: — zawierz Jego sile.
Kto w Nim, nie w sobie ufa — nie upadnie,

SCENA IX.

Ciż, Deodatus, Artaxiusz, Kwintus i wielu chrześcijan,
(wchodzą z pośpiechem).

Deodatus.

Coś przepowiedział, ojcze, już się stało,
Prokonsul z Romy otrzymawszy gońca,

Kazał na jutro ofiarę wspaniałą
Ogłosić w mieście, przed świątynią słońca;
Śród której każdy podejrzan o wiarę,
Ma, przed zmarłego posągiem Sewera,
Złożyć cześć Romie i Bogom ofiarę,
Lub umrzeć. — Ojcze! lud w tłumy się zbiera,
Kapłani ku nam jątrzą złość zawziętą,
Co czynić każesz?

Satur.

Trwać i ufać w Bogu.
Oni się w miecze, my w cierpliwość świętą
Zbrójmy; — lecz naprzód, u wieczności progu,
Ostatnią może spełnijmy powinność.

(wskazując na Felicytę).

Oto dziewica! — moc jej i niewinność
Pan upodobał; — niech święta chrztu woda
Zmyje cień skazy, a cnocie sił doda! —
— Dyakonowie! spieszcie się z posługą...
A teraz, bracia, módlmy się!

Wszyscy.

Cześć Panu!

Satur.

(wznosząc ręce ku niebu).

Ty! co świat idąc obmyć krwi Twej strugą,
Sam się wprzód dałeś obmyć chrztem Jordanu,
Jak w on czas Ciebie, spraw, niech nas w tej chwili,
Duch Twój osłoni skrzydłem swej opieki,
Byśmy swe grzechy radzi krwią swą zmyli,
I z martwych w Tobie powstali na wieki.

Wszyscy.

Amen!

(Dyakonowie i dyakonise czynią przygotowania do chrztu; ustawiają znowu ołtarz i przynoszą chrzcielnicę).

Chór.

Duch wesela, duch pokoju,
Duch nadziei w Tobie, Panie!

Niech w Twym chrzestnym spływa zdroju,
Dusze krzepić w życia znoju,
Śmierć przemienić w zmartwychwstanie.
Wejrzyj, Panie! Usłysz, Panie!
Serc potrzebę, ust wołanie.
Łaska Twoja niech się stanie!

(Dyakonise prowadzą Felicytę ku chrzcielnicy).

Satur.

(dając znak ręką stojącej zawsze opodal Kryspinie i Deodatowi).

Zbliż się, niewiasto! i ty, Deodacie!
Tyś ją przyjęła u jej życia progu,
Tyś ją zjednała — ty ją podaj Bogu.

(do Deodata).

Z ducha i z wiary bądź ojcem jej, bracie!
Nim będziesz z czynu; — bo wnet ją polecę
Męstwa i rzymskiej twej cnoty opiece.

Obrzęd chrztu. Dyakonise podają w ręce Felicyty zapaloną gromnicę; Satur kładzie w jej usta kroplę miodu; dyakonise okrywają ją białą szatą. Podczas gdy się to po kolei odbywa, śpiewa chór.

Chór.

I.

Jak w twej dłoni ta gromnica
W duszy twojej niech przyświeca
Niebieskiemi wiara blaski;
Niech jak ona w sercu pała,
Boża miłość, Boża chwała,
A nad tobą promień łaski.

II.

Jak miód w uściech, w duszy twojej
Swą słodyczą niech cię poi
Słowo Pańskie, Mądrość Pańska;
Jak on, z ust twych niech wypływa
Mowa słodka i prawdziwa
I pociecha chrześcijańska.

III.

W niewinności jasnej bieli,
Sercem czysta jak anieli,

Idź po ziemi w ślad Baranka;
By przed Jego tam obliczem,
Nieskalana mogła niczem
Stanąć dusza-chrześcijanka.

Satur.

(kładąc obie ręce na czoło Felicyty).

Duchu nieczysty! jeśli jaka plama,
Nie z jej złej woli, lecz z grzechu Adama,
Była w niej jeszcze: — iżeś śmiał w jej cieniu,
Jak Ewę w raju, kusić ją w sumieniu; —
W Imię, przed którem piekło się uniża,
Mocą tej wody i znamieniem krzyża,
Precz! — ja ci każę; precz w wieczne otchłanie!

(podnosząc ręce do góry).

A łaska twoja niech w niej mieszka Panie!

Wszyscy.

Amen!

(Dyakonise pochylają Felicytę nad chrzcielnicą. Satur zlewa jej skroń wodą świętą).

Chór.

Duch wesela, duch pokoju,
Duch nadziei w Tobie, Panie!
Niech w tym świętym spłynie zdroju,
Duszę krzepić w życia znoju,
Śmierć przemienić w zmartychwstanie.
Wejrzyj, Panie! usłysz, Panie!
Serc potrzebę, ust wołanie.
Łaskę Twoją daj jej, Panie!

(Obrzęd skończony. Dyakonowie wynoszą sprzęty).

Felicyta (u stóp Satura).

O! dzięki!

Satur.

Teraz rozstać się nam trzeba.
Stróż-Anioł we chrzcie zstąpił na cię z Nieba.

Jemu powierzaj tajnie duszy twojej:
On wzmoże siłę, on boleść ukoi,
Od poda radę, on natchnie przestrogę.
Ja cię, jak ojciec, błogosławię w drogę —

(wskazując na Deodata).

On, jak brat, będzie przewodnikiem twoim.

(do Deodata):

Biskup Scylity jest jak bratem moim,
Ku niemu prowadź te niewiasty obie.
Niech je tymczasem, jeśli nie przy sobie,
Ukryje w której z tych wielu jaskini,
Gdzieśmy z nim niegdyś mieszkali w pustyni,
Aż sam Bóg rozporządzi z nimi dalej.
Śpiesz, nim się pogan zajadłość rozpali.
Wąwozem w lewo, wyszedłszy za groby,
Ominiesz miasto; — dalszemi sposoby
Wiem, że myśl dobra natchnie cię w potrzebie.
Znam cię i przeto upatrzyłem ciebie.
Chrześcijańskiego odwadze rycerza,
Pasterz, ozdobę swej trzody powierza.
Bowiem zaprawdęć mówię, przyjacielu,
Wiary jej równej mało w Izraelu...
Idźcie!

Felicyta (rzucając się w objęcia Satura).

Ojcze mój!

Deodatus.

Posłusznym być muszę,
Lecz odejść w chwili, gdy śmierć i katusze
Grozić wam będą!...

Satur.

O to bądź spokojny!
Sługa Chrystusów, jak żołnierz śród wojny,
Nie sam wybiera, gdzie mu walczyć trzeba,
A wódz nasz wszędzie równo widzi z Nieba.
Idźcie! Pan z wami! — a co bądź przeznaczy,
Kto się w Nim żegna, w Nim się tam zobaczy.

(Deodatus, Felicyta i Kryspina odchodzą).

SCENA X.

Satur, Artaxiusz, Kwintus, Chrześcijanie.

Satur.

Bracia! słyszycie, los co nam zagraża:
Kto wątpi w sobie, kogo śmierć przeraża,
Kto niezwiązany powinnością stanu,
Niech się ukrywa — lecz wżdy służy Panu.
Bracia! mnie Kościół zdał nad wami władzę,
Com rzekł, powtarzam: pozwalam i radzę,
Wszystkim, kto pragnie, unikać katuszy...
Ale szczęśliwy, kto w głębi swej duszy
Boi się tylko Boga, a nie ludzi;
W kim miłość Jego chęć wyznania budzi,
I kto w Nim dotrwa; bo tym przeznaczona
Za krótką boleść radość nieskończona.

Chrześcijanie (otaczając Satura):

Ojcze, błogosław nam grzesznym!

Satur.

Pan z wami!
A teraz, bracia, sercem i myślami
Módlmy się!

(podnosi ręce ku niebu).

Panie! jakoś ty w ogrojcu,
Kielich Twej męki ofiarując Ojcu,
Czuł w sercu Swojem bojaźń człowieczeństwa:
Przebacz nam grzesznym brak siły i męstwa,
A gdy nas wezwiesz do świadectwa Sobie,
Daj, byśmy w ciężkiej nie ulegli probie;
Daj nam, o, Panie! niech krzyż męki Twojej,
W Boskiej Twej chwale przed oczyma stoi,
Byśmy w nim dla Cię, w swej ostatniej chwili,
Jak Ty umarli, jak Ty przebaczyli.

Wszyscy.

Amen!

(Wielu chrześcijan i niewiasty rozchodzą się śpiesznie w różne strony).

Artaxiusz (zbliżając się do Satura):

A ty sam, ojcze?

Satur.

Jam jest pasterz trzody,
Mnie wieść, mnie dano bronić ją od szkody.
Jeśliż jej piersią zasłonić nie mogę,
Niech choć krwią moją oznaczę jej drogę.

Artaxiusz.

Jam z tobą, ojcze! Czyńmy, co nam każe
Bóg, Prawda nasza!...

(Wielu chrześcijan i niewiasty wracają śpiesznie, wołając z przerażeniem):

Ach ojcze! ach ojcze!
Od strony miasta Prokonsula straże
Idą już tutaj; — w ich ręku zabójcze
Włócznie — na czele arcykapłan Feba.

Satur (wzdrygając się).

On?

(do chrześcijan).

Idźcie, bracia! — mnie tu zostać trzeba,
Wstrzymać ich pogoń.

Chrześcijanie (z zapałem).

Zostajemy wszyscy.
Bądź wola Boska!

Satur (podnosząc ręce z rozrzewnieniem):

O, dzięki Ci, Panie!

(do chrześcijan).

Bóg z duchem waszym!

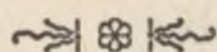
Jeden z chrześcijan (wbiegając).

Ojcze! już są blizcy —
Już wchodzą!... —

Głosy u wnijścia.

Na śmierć, na śmierć chrześcijanie!

(D. c. n.)



W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ XII.

A jednak Zaklika nie zginął.

Wśród zmarzłych mchów, których kępy wielkie rosły na bagnisku, ukryła się jego głowa, a rozwarte w śmiertelnej trwodze usta chwytały powietrze.

Zbrodzień uczuł pod nogami grunt. Czy to był korzeń drzewa, czy warstwa twardej ziemi, nie wiadomo, dość, że nogi Zakliki oparły się o coś stałego, nie pogrążały się więcej w głąb grząskiego bagniska.

— Piekło!... czeluść szatańska!... potępionym! — szeptał zbrodzień, chwytając rękoma zmarzłe błoto, które co chwila groziło mu zgubą.

Chciał krzyczeć, ale trwoga przed kulą lub stryczkiem z ręki tych, którzy go tutaj wpędzili, dławiła go, z gardła niewyraźne wydobywała jęki.

Umilkł i tak upłynęło z godzinę czasu.

Dokoła w borze cisza panowała niezamącona, kiedy niekiedy zakrakały wrony, które zaczęły zlatywać się na poblizkie drzewa.

Zaklika uczuł, że z wysiłku nadmiernego nogi się pod nim uginają, że zapada się coraz głębiej w okropną czeluść.

Każdy ruch ciała, zamiast ulgę, przynosił mu straszliwą katuszę, gdyż grzązł coraz głębiej i głębiej.



Chór amatorski kościelny z Kamieńca Podolskiego u stóp Jasnej-Góry.

Śmiertelny chłód przejmował jego członki. Zbielałemi z przerażenia oczyma wodził po przysłoniętym drzewami skrawku horyzontu, na który wiatr pędził szare chmury.

Niebawem śnieg prószyć zaczął, zasypując chłodną zasłoną mniejsze i większe kępki mchu.

Kilka ptaków z głośnem krakaniem zaczęło krążyć nad głową Zakliki, siadając na wystających ponad nią mchach i otrząsając ostremi dziobami śnieg z gałązek jałowca.

Były to kruki, które poczuły obecność czegoś dla siebie ponętnego.

Jakoż, trzepocząc skrzydłami, kilka z nich gwałtownie spadło między mchy i rzuciło się na głowę Zakliki, bijąc w nią dziobami.

Zbrodzień krzyknął przeraźliwie, chciał wydobyć ręce, rozłożone w błocie jak skrzydła, aby utrzymać równowagę ciała, ale próżny to był wysiłek: każde poruszenie groziło mu śmiercią.

Był bezbronnym wobec straszliwych napastników.

A tymczasem coraz to więcej z poblizkich drzew spadało nań czarnego ptactwa, coraz to śmielej raniły go ich szpony i dzioby, aż krzyk przeraźliwy, straszny wydobył się ze ściśniętej gardzieli Zakliki:

— Oczy, moje oczy!... ja ślepnę!...

Szponami i dziobami wżarły się kruki w jego oczodoły, krwawe tworząc dokoła nich rany.

A on nie mógł się poruszyć, nie mógł się bronić.

Wówczas, w występkach zatwardziały, przez złe moce opętany ten człowiek, uczuł lęk straszliwy, że ostatnia jego godzina nadeszła.

— Zgubionym!... ni czart, ni człowiek już mi nie pomoże.

Nawpół omdlały z bólu i trwogi, nawpół oślepiony, brocząc krwią, nagle przypomniał sobie dziecinne swe lata, ojca, matkę; przypomniał sobie chwilę, gdy matka, umierając, krzyż trzymała na piersiach i medalionik święty.

Jakiż to był medalionik?...

Ach, przypomina sobie... Z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej.

— Częstochowskiej?...—szepcze zbielałemi usty zbrodzień i nagle widzi w wyobraźni swojej ogromny obóz szwedzki, słyszy ryk dział, gniewne przekleństwa Müllera, a tam na górze, na Jasnej-Górze, w obłokach dymu, w ognistych potokach pocisków szwedzkich majaczy klasztor o wyniosłej wieżycy. Od gradu kul, od piorunowych uderzeń wroga zasłania go modrą suknią, usianą gwiazdami, świetlana postać niewieścia, na której oblicze, jak na słońce, wzrok ludzki patrzeć nie może.

I nagle w zranionych, przez kruki szarpanych źrenicach zbrodniarza zabłysła łza, w sercu obudziło się nieznane dotychczas uczucie, jakieś gorące pragnienie schronienia się pod ten płaszcz gwiaździsty, wezwania opieki tej Bożej Rodzicielki.

— Matko Boska! — szepnął zdrętwiałemi usty — o, Matko Boska, ratuj mnie!

Wicher powiał od strony zachodniej i przyniósł z sobą daleki odgłos jakby gromów nieustających, jakby podziemnych huków, od których drżała powierzchnia ziemi.

To pod Częstochową Szwedzi rozpoczęli szturm nad szturmy, zgromadziwszy co najcięższe, oblężnicze działa.

— Matko Boska, ratuj mnie! — szepnął martwiejącemi już usty Zaklika, czując w ciele chłód śmierci i straszliwe szpony krucze w oczach.

I nagle stała się rzecz nadzwyczajna. Zdawało się, że wnętrze boru nawiedziła burza: huk tam powstał, trzask gałęzi, krzyki i chrzęst zbroi.

Jakowaś walka w boru zawrzała zawzięta.

Na polankę wybiegały z gęstwiny leśnej pozbawione jeźdźców konie, oszalałe w boju, ze zwichrzonemi grzywami, i pędziły naoślep przed siebie.

Kilka z nich wpadło w bagniska, tuż-tuż przy Zaklice. Powalone, grzęznąc w mokradłach, rżeniem żałosnem rozrywały powietrze.

Spłoszone kruki porwały się w górę i zaczęły krążyć i łopotać skrzydłami, czując nową pastwę dla siebie.

Już tylko jeden z nich uparcie uderzał dziobem w okrwawione oczy Zakliki, gdy nagły w pobliżu huk wystrzału spłoszył go; niechętnie opuścił swoją ofiarę, wzbił się w powietrze i ukrył się wysoko wśród gałęzi drzew, strzepując z nich śnieg świeży.

— Matko Boska, ratuj mnie! — powtórzył Zaklika, czując się wolnym od straszliwych wrogów.

Przedziwna rzecz!... Samo wezwanie imienia Bożej Rodzicielki napełniało balsamem serce Zakliki.

Śmierć zajrzała mu w oczy, śmierć straszliwa, w męczarniach niewypowiedzianych. Odczuł, co to są katusze piekielne, co zguba wieczna, co trwoga przed szponami szatana. Krwawemi oczami chciał spojrzeć w górę, lecz ból straszliwy w nich uczuł, ciemności wieczne go otoczyły: był oślepiony.

Siły jego wyczerpały się, osunął się w głąb wstrętną bagniska, ale czując, że się dusi, ostatkiem sił utrzymał się przy przytomności i uchronił od pogrążenia w błotnistą przepaść.

Zaczął się w duchu modlić. Z dziecinnych lat przypomniał sobie żywo „Ojcze nasz” i „Zdrowaś,” tak dawno niepowtarzane, zapomniane,

niejednokrotnie świętokradzko przezeń wśród pijackiej kompanii przedrzeźniane, wyśmiewane, zniesławiane.

I tak w uldze duchowej przetrwał sporo czasu, gdy coraz to bliższa i zaciętsza walka rozpalała się na polance.

Był nawpół martwy, nawpół przytomny, oślepły, a jednak całem swojem jestestwem zaczął wsłuchiwać się w groźne odgłosy szczęku oręża, które dochodziły uszu jego: stąd czekał ocalenia.

Już słyszy rozpaczne przekleństwa wyrzucane z gardzieli żołdactwa szwedzkiego, okrzyki bólu i wściekłości rannych i ginących, słyszy groźby w niemieckim ze ściśniętych piersi wyrzucane języku, oraz polskie okrzyki bojowe.

Z każdą chwilą zamęt się wzmaga, łoskot, huk, trzask, wrzawa.

Nagle daje się słyszeć tętent rozpędzonych rumaków z jeźdźcami i bez jeźdźców, pędzących wprost na mokradła, na bagniska i torfowiska. Napierają na uciekających w popłochu rycerze pancerni, wpędzają w trzęsawiska, wre walka zawzięta.

Zaklika słyszy, że tuż przy nim rży i chrapie trwożliwie jakiś rumak, szamocąc się w bagnisku, słyszy też czyjeś przekleństwa głośne:

— Todt und Teufel!...

To jakiś jeździec wraz z koniem daremnie sili się wydobyć z błotnistej czeluści, w którą się stoczył.

Ale głos jeźdźca znany Zaklice.

Ogniste straszliwe przekleństwa znowu dają się słyszeć.

Tak, ten głos zna Zaklika, nie może się mylić.

— Graf! — chciał krzyknąć, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa.

— Mości hrabio! — wyrwało mu się z wysiłkiem ze zmartwiałych warg — to ja... Zaklika!...

Ale w tej chwili zatętniała ziemia. To od strony Olsztyna w pełnym galopie nadleciał zbrojny oddział Szwedów. Wpadł na polankę, zmiótł walczących tutaj w pojedynkę jeźdźców i zaszył się w głąb boru.

— Nasi! — dał się słyszeć wykrzyknik niemiecki jeźdźca powalonego w pobliżu oślepionego Zakliki.

Chwilowo zapanowała cisza, tak właśnie jak w przyrodzie po przejściu gwałtownego huraganu.

(D. c. n.)

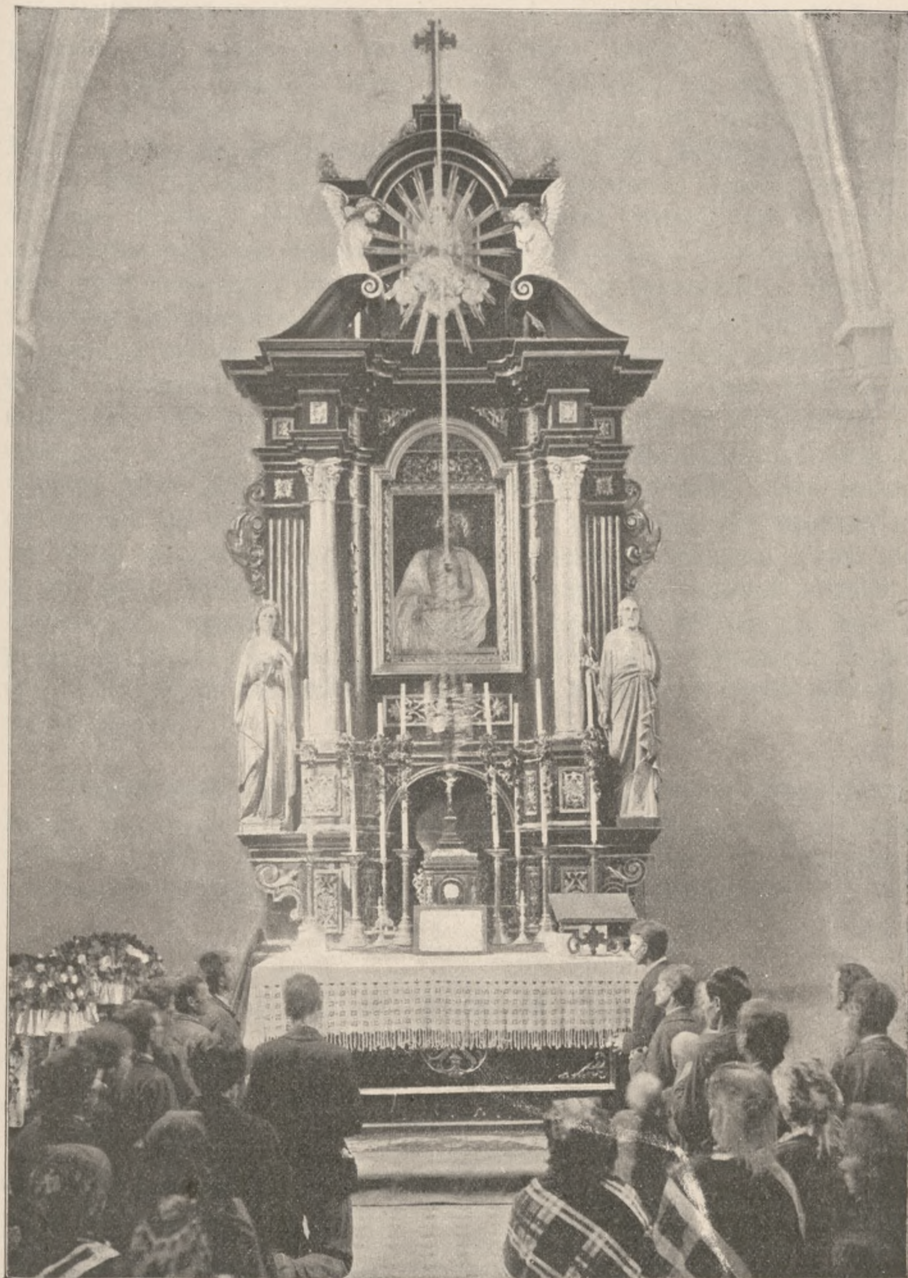
Stefan Gębarski.



Nowiny z Częstochowy.

Na cześć Maryi. Przez kilkanaście dni składał cześć Matce Boskiej Częstochowskiej chór amatorski kościelny z Kamieńca Podolskiego. O, jakże ślicznie śpiewali na cześć Królowej Nieba i ziemi! Nie szczędzili czasu, ni trudu... Śpiewali codziennie w kaplicy Matki Boskiej podczas trzech Mszy, a w Piątek i podczas czwartej przed cudownym ołtarzem Pana Jezusa.

Szczególną pięknością odznaczały się pieśni na głosy do Matki Najświętszej. Ileż to razy słyszymy je śpiewane, choć równie serdecznie, lecz mniej umiejętnie przez pątników, dążących na Jasną-Górę. Możemy twierdzić, że my, częstochowianie, bardzo już te pieśni znamy, boć przecież od wiosny do późnej jesieni melodye te i wyrazy dolatują do nas z pod stóp Jasnej-Góry. Ale gdy zaśpiewał je chór z Kamieńca, zdawało się, że coś nowego słyszymy, po długiej chwili dopiero przypominamy sobie: wszakże to ta znana i droga nam pieśń, tylko stokroć piękniejsza, promienniejsza. Zasłuchani, mimowolnie podnosimy oczy ku ołtarzowi, ku obrazowi Maryi... Przestajemy się modlić słowami, modli się myśl, serce. Dusza nasza łączy się niejako z tym natchnionem śpiewem chrześcijańskiem na cześć naszej Bogarodzicy. Zda się, że Ona tam z cudownego Obrazu ogarnia nas swem wejrzeniem, żeśmy blizko Jej serca, gdy całą swą duszę ku Niej ślemy w tem zasłuchaniu w pieśń, w tej niemej łączności z Nią, Najczystszą, Niepokalaną. Czujemy wtedy, jak bardzo Ją wielbimy i kochamy, jak nam z tem dobrze i słodko. Śpiewacy ci śpiewali sercem, trafiali więc do serc. Wdzięczność za te chwile niech idzie w ślad za nimi. Bóg zapłać! pani N. tej cichej, skromnej pracowniczce, która zdrowie i czas swój poświęca bezinteresownie w ofierze dla dobra publicznego. Całą jej rozkoszą, całą nagrodą za pracę jest przekonanie, że przy pomocy Bożej podnosi umysły i serca ukochanej gromadki ku pięknu i umiłowaniu tego, co swojskie, co nam jest i powinno być drogie.



Ołtarz z cudownym obrazem Pana Jezusa w kościele parafialnym w Przegini, dyecezyi Kieleckiej.

Kompania z Śląska Górnego, z Reptów, i z Mińska Gubernialnego. Liczniej niż kiedykolwiek przybyły te kompanie do stóp ołtarzy świątyni Jasnogórskiej, aby oddać hołd serdeczny Matce Boskiej, podziękować za doznane łaski i błagać o nowe. Kto widział, jak we wzorowym porządku z pobożnością i skruchą dążyły te kompanie wiernych dzieci Maryi do stóp Jej ziemskiego tronu, do ukochanej świątyni na Jasnej Górze, ten nie mógł oprzeć się łzom rozrzewnienia. Zaiste, ewangielicznego, pełnego cnót chrześcijańskich serca muszą być ci, którzy takie rzesze wiernych przyprowadzili, aby się ukorzyły w serdecznem hołdzie przed cudownym obrazem Matki Boga Ukrzyżowanego. Kompania z Mińska Gubernialnego pod przewodnictwem ks. Akko, któremu dzielną pomocą był ks. Norejko, budziła podziw pobożnością swych uczestników i porządkiem wzorowem. Nie wspominamy o tych nielicznych wyjątkach, które nie zrozumiały czcigodnego pasterza w jego ojcowskich staraniach o pożytek duchowny powierzonych sobie wiernych. Były to wyjątki, które uznały już swą winę i szczerze żałowały braku pokory na miejscu tak świętem. W przyszłości z pewnością nie zasmucą po raz drugi czcigodnego ojcowskiego oblicza swojego pasterza. Cześć mu za ich pełną poświęcenia pracę na chwałę Bożą i pożytek bliźnich... Również na szczególną uwagę zasługuje fakt, że kompanii z Reptów przewodniczył w roku bieżącym stary przewodnik p. Franciszek Wojtacha, który już 58 raz umiejętnie prowadził wiernych z Śląska Górnego na Jasną-Górę.

Przypomnienie. Byłym uczniom szkoły ogrodniczej w Częstochowie, którzy ukończyli kursa w latach 1894 i 1895, przypominamy o naznaczonym zjeździe koleżeńskim tamże, na 6 września r. b. Upraszamy o uprzednie zawiadomienie: ul. Ślizka 10, m. 7, w Warszawie.

OFIARY:

Na kościół Przenajświętszej Rodziny w Częstochowie.

K. Now. w Wilnie . . . . . . rb. 1 — kop.
Wł. Włod. w Ł . . . . „ — 50 „

Na kościół w Żórawinie.

W. Pukiew. w Cz. . . . . . . rb. 1 — kop.

Na kościół Ś-go Józefa w Kaliszu.

M. P. z M. . . . . rb. 15 — kop.

Nowiny z daleka i z blizka.

Rzym. W ogrodach watykańskich, w obecności Ojca Ś-go, odbyła się raz pierwszy uroczystość, w której uczestniczyły same dzieci i młodzież. Był to popis stowarzyszenia gimnastycznego, jakich jest wiele w Rzymie. Takie popisy zwykle odbywają się na placach lub w ogrodach miejskich, w obecności kardynałów i innych dostojników Kościoła, którzy następnie rozdzielają nagrody pomiędzy chłopców, odznaczających się szczególną zręcznością; ale w ogrodach watykańskich, w obecności Ojca Ś-go, taka uroczystość odbyła się, jak nadmieniliśmy, po raz pierwszy. Popisywało się mianowicie stowarzyszenie Carlo di Catinari, zostające pod kierunkiem księdza Don Vitale, Barnabity. Jego Świętobliwość z widoczną radością przypatrywał się dwustu zuchom, odznaczającym się nietylko zręcznością, ale także dobrem sprawowaniem i pilnością w nauce. Przemówiwszy do nich serdecznemi słowy, Ojciec Ś-ty przechadzał się wśród nich, rozmawiał z nimi, każdego dopuścił do ucałowania swej ręki. Dobroć i łaskawość Papieża głęboko wzruszyła młodzież.

= Dnia 15 lipca, około godziny 7-ej wieczorem, Jego Świętobliwość, wróciwszy ze zwykłej przechadzki po ogrodach Watykanu, przyjmował w sali Tronowej mające w Rzymie swój dom macierzysty nasze polskie Siostry Najświętszej Rodziny z Nazaretu, z przełożoną ich Matką Laurentą, oraz z ich protektorem, kardynałem Respighi. Posłuchanie to miało cechę poufnej, serdecznej rozmowy najlepszego ojca z ukochaną swą dziatwą. Rozpoczęło się od tak dobrze nam znanego, a każdemu sercu polskiemu tak miłego, pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ Na samym wstępie wyraził Ojciec Ś-ty ździwienie, że widzi przed sobą tak liczną gromadkę, bo było Sióstr około 50, a potem radość serdeczną na widok tylu dusz, poświęconych



Kompania z Górnego Śląska, z Reptów, u stóp Jasnej-Góry.

służbie Bożej, pracujących nad własnem uświętobliwieniem i dopomagających innym do zbawienia.

— Nie wątpię—mówił—że wszystkie ten cel wysoki macie zawsze przed oczyma swemi i wytrwale do niego dążycie ze wszystkich sił swoich; że z całego serca kochacie Pana Jezusa i Jego Kościół Ś-ty; że za ten Kościół modlicie się nieustannie i rade jesteście skromną a użyteczną pracą swoją przyczyniać się do jego tryumfu. O, tak! módlcie się, moje drogie, za Kościół Ś-ty, wystawiony dzisiaj na tyle ciężkich prób; módlcie się też i za mnie, abym i sam się zbawił, i pomógł do zbawienia tym, których Bóg mej pieczy powierzył.

Siostry na te słowa padły na kolana, ale Ojciec Ś-ty kazał im powstać, oświadczył, że to nie koniec posłuchania, a następnie jął rozpytywać troskliwie o stan zgromadzenia, o liczbę Sióstr i domów, o ich zajęcia. Dowiedziawszy się, że przedewszystkiem pracują nad wychowaniem dzieci i usługują chorym w szpitalach, w podniosłych słowach tłumaczył im, jak w pracy jednej i drugiej mają nieść z sobą wszędzie Pana Jezusa, zaszczepiać Go w sercach bliźnich, zaprawiając dzieci do prawdziwej pobożności, a chorych przygotowując do Sakramentów Ś-tych. Przeszedł potem do życia wewnętrznego samych Sióstr, zachęcał je gorąco do wzajemnej pomiędzy sobą miłości, do ścisłego zachowania reguły, do posłuszeństwa, do pracy nad własnem udoskonaleniem się, do niezrażania się spotykanemi w życiu przeciwnościami; upewniał, że dobra wola, szczera chęć służenia Bogu, gotowość do ofiary, zdolne są, przy łasce Bożej, pokonać wszelkie trudności. Jego Świętobliwość przyjąć raczył fotografię fundatorki zgromadzenia, ś. p. Przewielebnej Matki Maryi Franciszki Siedliskiej, rodem ze Żdżar, w powiecie rawskim gubernii piotrkowskiej, z krótkiem wspomnieniem pośmiertnem, skreślonem przez Przewielebnego Ojca Corniera, jenerała Dominikanów. Kardynał Respighi nadmienił Ojcu Świętemu, że Ojciec Cornier bardzo się interesuje zgromadzeniem Nazaretanek, odkąd poznał wzniosłą duszę fundatorki. Jego Świętobliwość, przyjmując fotografię, rzekł łaskawie:

— Ufajmy Panu, że Matka Fundatorka cieszy się już z Panem Jezusem i będzie wam dopomagała z nieba.

Wreszcie Ojciec Ś-ty udzielił wszystkim Siostrom, obecnym i nieobecnym, Błogosławieństwo Apostolskie, błogosławiąc razem wszystkie ich domy, zajęcia i prace, ich rodziny i wszystkie drogie ich sercu osoby; podpisał dla nich trzy fotografie Swoje, przyjął od nich dar skromny, dał każdej rękę do ucałowania, a gdy pragnęły stopę Jego całować, cofnął się, mówiąc:

— Zaniechajcie tego, posadzka jest ślizka, a nogi moje niepewne.

Pełne świętych wzruszeń wróciły Siostry do domu, a wspomnienie chwil słodkich, spędzonych w obecności Namiestnika Chrystusa, długo będzie stanowiło ich pociechę i siłę.

= W sali konsystoryalnej, w obecności Ojca Ś-go, nastąpiło odczytanie dekretów, dotyczących zaliczenia w poczet Świętych, bądź też Błogosławionych, czterech świętobliwych mężów. Uznano tedy, iż z całą pewnością można przeprowadzić kanonizacyę Błogosławionego Aleksandra Sauli, członka zakonu Barnabitów, który żył w XVI stuleciu, a był doradcą Świętych: Karola Boromeusza, Piusa V i Filipa Nereusza. Drugim dekretem zatwierdzono cuda, dozwalające na ubłogosławienie dwóch Ojców Kapucynów: Agatona z Wendome i Kasyana z Nantes, umęczonych w Abisynii, w XVII stuleciu. Trzeci dekret dotyczył ubłogosławienia księdza Kaspra dell Buffalo, zmarłego w Rzymie, w 1837 r. Jenerałowie Barnabitów i Kapucynów dziękowali Ojcu Świętemu za przeprowadzenie tych spraw, Jego Świętobliwość zaś zaznaczył, iż uczuwa wielką radość wobec podjętego zaliczenia w poczet Świętych Kościoła mężów, którzy odznaczyli się tak wielkiemi cnotami, a następnie winszował Kapucynom i Barnabitom, że to z ich zgromadzenia wyszli tacy mężowie. Zwłaszcza Jego Świętobliwość podkreślił zasługi ks. dell Buffalo, postawił go za wzór wszystkim kapłanom.

= Hołd Jego Świętobliwości składali pątnicy francuscy, wracający z Jerozolimy, oraz 400 marynarzy katolickich, służących na okrętach angielskich, które zarzucają kotwicę w porcie włoskim Civita-Vechia. Ten pobożny zwyczaj praktykuje się od lat kilku, mianowicie od czasu, gdy okrętami angielskiemi na morzu Śródziemnem kieruje wice-admirał lord Walter Kerr, gorliwy katolik. Przybywszy do Rzymu, marynarze z oficerami na czele przemaszerowali przez ulice miasta, wstąpili do kościoła Ś-go Piotra, aby się pomodlić przy grobie Ś-tych Apostołów, w kaplicy Ś-go Grzegorza wysłuchali Mszy Ś-tej, do której służyło dwóch oficerów-marynarzy, a następnie odbyło się posłuchanie u Ojca Ś-go. Każdy z marynarzy był dopuszczony do ucałowania ręki papieskiej i otrzymał od Jego Świętobliwości pamiątkowy medal srebrny.

= Zwyczajem przestrzeganym od lat wielu, w dniu 29 czerwca wybijany bywa medal panującego Papieża. Przeto w roku bieżącym ukazał się pierwszy medal ku czci Piusa X. Na jednej stronie wyryto podobiznę Jego Świętobliwości, a na drugiej herb papieski. Dokoła portretu widnieje napis łaciński: „Pius X. Kapłan Najwyższy. Rok pierwszy.“ Medal wykonał p. Bianchi, nadworny grawer Watykanu.

= Jego Świętobliwość troskę osobliwą okazuje Irlandczykom. Obecnie wysłał do Irlandyi kardynała Vannutelliego na poświęcenie katedry w Armagh, gdzie mieszka prymas Irlandyi, kardynał Logne. Wizyta kardynała Vannutelliego radością napełnia Irlandczyków, gdyż pierwszy to raz kraj ich odwiedzi książę Kościoła, stale mieszkający w Rzymie. Ojciec Święty wybrał kardynała Vannutelliego dlatego, ponieważ on zajmuje się obecnie sprawą kanonizacyi dawnego arcybiskupa Armagh, świętobliwego Oliwera Plunket. Niezadługo Irlandczycy pozyskają jeszcze więcej kanonizowanych rodaków, bo sąd dyecezyalny w Dublinie rozpatruje rozmaite szczegóły, dotyczące procesu kanonizacyjnego całego szeregu męczenników irlandzkich z czasów prześladowania katolików za panowania króla Henryka VIII, królowej Elzbiety i Kromwela. Po zebraniu odpowiednich danych przez sąd dyecezyalny, wszystkie dokumenta odnośne zostaną odesłane do Rzymu, gdzie je zbada Ś-ta Kongregacya Obrzędów.

Jubileusz kapłański w Przegini, dyecezyi Kieleckiej. Niezwykłą uroczystość święcono dnia 6 lipca w parafii przegińskiej, dyecezyi kieleckiej, bo dwudziestopięciolecie wielce owocnej, iście ewangielicznej pracy pasterza tamtejszego, księdza proboszcza Banasińskiego. Z radością na te gody zgromadzono się z najdalszych nawet okolic, pragnąc uczcić wyjątkowy charakter tego pełnego poświęcenia się i cnót pasterza owczarni Chrystusowej. Każdy garnął się do jubilata, każdy w serdecznych słowach składał mu życzenia, każdy w ten dzień zwracał się do Boga z gorącą prośbą, aby zachować raczył na długie lata tyle gorliwego sługę ołtarzów Pańskich. Zasługi Szanownego Jubilata dla parafii w Przegini są tego rodzaju, że wdzięczność parafian nigdy dlań nie wygaśnie. Niezmordowany w pracy około ich dobra, wybudował piękny na okolicę kościół w stylu gotyckim, co stało się, jakoby cudem i czemu w podziwie wszyscy hołd oddają, albowiem parafia przegińska jest ubogą, i rozpoczynając budowę tak pięknej świątyni, ksiądz Banasiński więcej na Opatrzność Bożą liczył, niż ludzką. I nie zawiodła go gorąca wiara w ofiarność ludzką ku pomnożeniu chwały Bożej. Stanęła świątynia wyniosła i świadczy chlubnie o tych, którzy się do jej wzniesienia przyczynili, a głównie o wielkiej wytrwałości i harcie ducha księdza proboszcza. Cóż to za piękny, jaki wzruszający był widok, gdy przed cudownym obrazem Pana Jezusa w świątyni przegińskiej zebrały się liczne rzesze wiernych w dzień jubileuszowy, gdy zastęp liczny braci kapłanów otoczył jubilata. Niejedna łza zabłysła w oczach, niejedno westchnienie serdeczne i modlitwa strzelista popłynęła do tronu Niebios:

— „Daj, Boże, szczęście i zdrowie na długie lata temu najzacniejszemu, temu dobremu, temu ukochanemu pasterzowi!"

Po ukończonych modłach w świątyni, liczne grono braci kapłanów, z różnych dalekich stron przybyłych, cała rodzina, wdzięczni parafianie, wszyscy otoczyli ukochanego jubilata z serdecznemi życzeniami. Wśród innych ks. Czesław Wojna, proboszcz z Sieciechowic, klasyczną łaciną przemówił serdecznie, po nim ks. Dybowski z Bydlina, a każdy mówca pragnął podnieść wybitne zalety charakteru Szanownego Jubilata: gołębią dobroć, prawość i niepospolitą pracowitość dla chwały Bożej i dobra bliźnich.

Z Oświęcima. Tegoroczna uroczystość Wspomożycielki Wiernych zaznaczyła się udziałem Najprzewielebniejszego ks. biskupa Nowaka i ks. Michała Ruy, jenerała ks. ks. Salezyanów. Podczas pontyfikalnej sumy wygłosił podniosłe kazanie słynny kompozytor muzyki kościelnej, ks. kanonik Franciszek Walczyński. Procesya z prześliczną statuą Wspomożycielki po przyzdobionych ulicach miasta wypadła wspaniale. Na obiedzie zauważono u ks. ks. Salezyanów prócz wymienionych osobistości także prof. Smolkę, posłów: p. Korfantego i Kramarczyka, duchowieństwo okoliczne i wybór arystokracyi miejscowej. Niewidziany dotychczas w naszem mieście był napływ wiernych, zwłaszcza Górnoślązaków. Ważną rolę odegrała kapela zakładowa i chór salezyański, zaszczczycony przez ks. kan. Walczyńskiego pochwałami i cennemi wskazówkami.





Uczestnicy uroczystości 25-lecia kapłaństwa ks. Feliksa Banasińskiego, proboszcza w Przegini, dyecezyi Kieleckiej.

NIE ZABIJAJ!

Kto szkodzi zdrowiu swemu, ten postępuje przeciw piątemu przykazaniu Boskiemu, a w pierwszym rzędzie grzeszą przeciw temu ci, którzy się oddają pijaństwu.

W tym celu nadzwyczaj pożyteczną pracę przedrukowujemy ku pożytkowi ogółu. Praca ta — to broszurka księdza d-ra Bernarda M. Skulika p. t.: „Wódka i pijaństwo."

Słówko od Autora.

Jako kapłan katolicki, poczytuję sobie za konieczny obowiązek, wystąpić publicznie przeciw największemu naszemu wrogowi duszy i ciała, rabusiowi naszego honoru i poczciwego imienia, naszego zdrowia i życia, naszego domowego pożycia, braterskiej przyjaźni i cichego szczęścia, majątku i krwawo zapracowanego grosza, oraz walczyć przeciwko niemu, ostrzegać i bronić was przed nim. I zapytacie, Bracia i Siostry, kto ten wróg taki, kto ten nasz rabuś i morderca, co nam takie czyni szkody? To nie człowiek pojedyńczy; bo to niepodobna, aby jeden człowiek, chociażby i najpotężniejszy i najnikczemniejszy, mógł takie szkody całemu społeczeństwu wyrządzić; to nie ludzie nam najgorzej usposobieni, nasi nieprzyjaciele, bo i tym niepodobna nam tak bardzo szkodzić; to nie szatan, ani nawet wszyscy szatani; bo i tym nie dano nad nami tyle mocy, bo i tym Bóg nie pozwolił, aby nam tak bardzo szkodzić mogli. Więc kto ten wróg nasz największy, ten rabuś najnikczemniejszy, ten złodziej najpodlejszy? To „wódka"—i temu wrogowi wojnę wypowiedziałem, tego wroga waszego zwalczać, was

przed jego zasadzkami bronić i o jego skutkach pouczać i ostrzegać za obowiązek sobie poczytuję. Jużbym chyba nie miał sumienia, ani ku tobie, ludu Boży, miłości, gdybym nie podniósł głosu przeciwko temu wrogowi i nie miał was ostrzegać od jego zdrady i do otwartej i wytrwałej przeciwko niemu zachęcać walki. Jako kapłan katolicki nie zwykłem czy to z ambony, czy w konfesyonale, czy to z innego miejsca ś-go, czy gdziekolwiek bądź, mówić lub pisać niezgodnie z prawdą, albo co przesadzonego ludowi opowiadać. To też co twierdzę o wódce i pijaństwie, rozważcie sobie dobrze, a przekonacie się, że niema w tem ani kłamstwa, ani przesady. Czytajcie uważnie i drugim to do czytania podajcie.

Pisałem w Uroczystość Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w La Salle, Ill. 1899.

Ks. Bernard M. Skulik,
proboszcz parafii polskiej Ś-go Jacka w la Salle, w Ameryce.

I.

„Trzeźwymi bądźcie, a czuwajcie“ (Piotr 1, 5, 8). Trzeźwość i czujność przepisuje Ś-ty Piotr za konieczne środki dla zabezpieczenia się przeciwko napaściom piekielnego przeciwnika, który we dnie i w nocy, jako lew ryczący krąży, szukając, kogoby pożarł. Biada przeto tym, których on z przyczyny pijaństwa w bezbronnym stanie napotka, albowiem tych niechybnie pożre. Żołnierz pijany i ospały dostaje się w ręce nieprzyjaciół, podobnież i ten chrześcijanin ulegnie nieomylnie wszelakim pokusom i wpadnie w sidła na się zastawione, który przez pijaństwo wygasił światło ducha swego, sam siebie oślepił i pędzi żywot w ciągłym letargu. Z tej też przyczyny napomina nas Zbawiciel (Mat. 26, 41.), abyśmy czuwali i modlili się, iżbyśmy w pokusę nie wpadli; a mówiąc o swem niespodziewanem przyjściu na śmierć i sąd (Mat. 2, Łuk. 21) dodaje, abyśmy czuwali i strzegli obciążać serca nasze nieumiarkowanem jedzeniem i piciem, by nas śmierć jako złodziej (Obj. 3, 3) w nocy, t. j. całkiem niespodziewanie i nieprzygotowanych nie zaskoczyła.

Cóż się stanie z tymi, którzy z powodu pijaństwa w ciągłej nocy żyją, w brzydkim śnie grzechowym pogrążeni? W jakim się oni stanie wtenczas znajdować będą, gdy się niespodzianie z takiego snu przez śmierć ockną, i obciążeni mnóstwem niewyspowiadanych grzechów, przed sądem Bożym się zobaczą?

Bo któżby chciał policzyć te grzechy, których się opilcy w pijaństwie (i przez pijaństwo) dopuszczają, a które oni zwykle mało sobie ważą; albo gdy wcale, niekiedy nie wiedzą, co po pijanemu czynią,



Pijak w objęciach śmierci i węża-szatana kusiciela dąży do zguby doczesnej i wiecznej. Pan nasz Jezus Chrystus i Anioł Stróż wzywają go do opamiętania, do ocalenia ciała i duszy.

myślą, że więc w takowym stanie żadnego się grzechu nie dopuszczają. Lecz czyliż Sędzia Boski będzie tak sądził, jak oni sądzą? Czyliż im puści bezkarnie popełnione w pijaństwie nieprawości i dane zgorszenia?

Bóg, który z każdego napróżno wymówionego słowa ścisłego wymaga rachunku, nie będzieże się z tylu hańbiących, obelżywych, złorzeczących i t. p. mów, z tyle napróżno przepędzonego czasu, z tylu zmarnotrawionych pieniędzy, z tyle zaniedbanej służby Bożej i zaniedbanego wychowania dzieci, gospodarstwa i z tylu innych niezliczonych grzechów żadnego rachunku domagał? Czyliż będą się mogli opilcy tem uniewinniać, że nie wiedzieli, co czynili, iż się to wszystko bez namysłu lub z żartu stało; że mieli słabą głowę, która nie wiele znieść mogła i t. d.? Nie będąż te wymówki świadczyły przeciwko nim samym, iż właśnie dlatego na karę zasługują, iż więcej używali, aniżeli ich głowa znieść mogła, iż się przez to pozbawili rozumu, zrobili się podobnymi do bydła, oraz stali się rozmyślnie winnymi wszystkich grzechów, których się dopuścili w pijaństwie?

Cóż ich więc czeka? Nie co innego, jak to samo, co owego bogatego rozpustnika, który z powodu pijaństwa w piekle pogrzebiony został (Ł. 16, 22). Zaiste, takie jest miejsce i taka nagroda dla pijaków! W piekle będą napróżno tęsknić za kropelką, aby język odwilżyć; tam tyle im odmierzą wody, męki i żałości, ile na świecie używali rozpusty i — rozkoszy (Obj. 18, 7); tam będą tak zmuszeni spełnić aż do dna kielich gniewu Boskiego, jak oni zmuszali przedtem innych do pijaństwa. Tego, nie czego innego, mają się oni spodziewać, albowiem wyraźnie mówi Ś-ty Paweł, że pijanice nie posiądą królestwa Bożego (1. Kor. 6, 10). Muszą się przeto wyrzec albo nieba, albo pijaństwa!

Lecz jakże ciężkie i rzadkie jest prawdziwe nawrócenie pijanicy! Łatwiejby można spotkać murzyna zmieniającego swój czarny kolor, aniżeli pijanicę porzucającego haniebny nałóg pijaństwa. Kto bowiem trwa w grzechu, będzie potępion. To samo już powinno każdego odstraszyć od występku pijaństwa. Cóż dopiero powiem o zgrozie, szkaradności i szkodliwości tego obrzydłego występku! Nie jestże to okropnie, ażeby człowiek, będąc obdarzony rozumem i do rozkoszy niebieskich stworzony, tak dalece przez nieumiarkowane picie zalewał rozum, przez który właśnie jest obrazem Boga, iżby się robił podobnym do bydlęcia, a nawet się niżej od niego upadlał? Bo któreż zwierzę, bądź wół, bądź osieł, da się zmusić pić więcej nad to, co do ugaszenia pragnienia potrzebuje? Nie są-że, woła z tej przyczyny Ś-ty Chryzostom, daleko nierozumniejszymi i niegodziwszymi pijanice, aniżeli zwierzęta? Zaiste, są oni takimi; i to nietylko z powodu ich nieumiarkowania w piciu, lecz także z przyczyny zgorszenia, które — poruszeniem ciała, mową i uczynkiem innym (zwłaszcza młodszym) dają. Jakże nieprzyzwoicie obnażony leżał Noe w swym namiocie, lubo bez winy się upił, i wystawił się na szyderstwo bezwstydnego Chama! (1. Mojż. 9, 21). Dawni Rzymianie, chcąc swym dzieciom obrzydzić

pijaństwo, upajali jednego z niewolników i pokazywali im na nim nieprzyzwoite i haniebne czynności, jakich się pijany zwykł w stanie takim dopuszczać, aby przez to wzniecić w nich wstręt do pijaństwa. Pijaństwo jest oprócz tego matką nieczystości (Efez. 5 18), otwiera drogę do wszelkich grzechów i lubieżności. To powinny zważyć bogobojne dziewice, pragnące zachowywać czystość, i z tego względu unikać wszelkich okoliczności, gdzieby się z pijanymi spotkać mogły. Przy takowem spotkaniu mogą się łatwo wystawić na niebezpieczeństwo utracenia niewinności.

Ostatnią uwagą, mogącą każdego od pijaństwa odstraszyć, jest sama szkodliwość tego występku. Pijaństwo niszczy ciało i duszę. „Dla pijaństwa wielu, bardzo wielu pomarło! (Syr. 37, 34), a jeszcze więcej utraciło zdrowie, majątek, dopuściło się mordów i najokropniejszych zbrodni! Komu biada? czyjemu ojcu biada? komu swary? komu doły? komu bez przyczyny rany? komu płyną łzy z oczu? iżali nie tym, którzy zasiadają na winie, a bawią się kubków wytrząsaniem?" (Przypow. 23, 29, 30). „Biada wam, którzy wstajecie rano, abyście się opilstwem bawili i pili aż do wieczora, albowiem piekło już rozszerzyło na was paszczękę swą!"

Ta prawda potwierdza się codziennemi przykładami, a ów nędzny i niezliczonemi chorobami obłożony wiek pijanicy, potępia naocznie jego szkaradny nałóg: oczy błędne, twarz cała obrzękła, miedzianą piekielną cerą zeszpecona, dość wyraźnie wyjawia ogień wewnętrzny, który już za życia pali wnętrzności, a koniec jaki? — Bez pojednania się z Bogiem w rynsztoku lub w kałuży!

(D. c. n.)



Książki nadesłane do Redakcyi.

Bogu i bliźniemu, zbiór poezyi religijno-moralnych. Nakład i druk Synów St. Niemiry.

Autor jest dzisiaj jedynym u nas bodaj poetą, którego lutnia godnie opiewa wielkość i chwałę, pokorę i świętość Bogarodzicy. Zbiór poezyi ukazuje się w roku jubileuszowym ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Przenajświętszej Maryi Panny i u stóp jej ołtarzy — słowa dedykacyi — tę skromną wiązankę składa niegodny Jej sługa — autor. Nie możemy oprzeć się uczuciu radości, że w roku tak pamiętnym, gdy cały świat stara się uczcić Królową Niebios, my nie pozostajemy w tyle, my, którzy więcej niż inni winniśmy czcić i uwielbiać Maryę.

Z rozrzewnieniem więc powtarzamy wraz z poetą:

„Bądź pochwalona, Święta Pani,
Przez ziemię całą, wierny lud!
Hołd modlitewny przyjmij w dani,
Śpiew serca, pełny rzewnych nut...“

Zbiorek ten natchnionych poezyi Karola Hoffmana gorąco polecamy czytelnikom naszym.

Księga Pamiątkowa Maryańska.

Rok 1904 jest rokiem jubileuszowym pięćdziesięciolecia ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. Stosownie do rozporządzenia ś. p. Ojca S-go Leona XIII, powtórzonego w pierwszych tygodniach po objęciu tronu Piotrowego przez Ojca Ś-go Piusa X, gotują się wszystkie narody katolickie, aby uczcić należycie dziejowy akt ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Matki Zbawiciela. Nadarza się sposobność do zastanowienia się nad dziejami czci Naj-

świętszej Maryi Panny oraz nad dziejową rolą, jaką odegrała ta cześć w cywilizacyi narodów katolickich. To też zbawienną była myśl podjęta przez Komitet Kongresu Maryańskiego, jaki się odbędzie we Lwowie 28 i 29 września r. b., aby zebrać dokumenta odnoszące się do czci Najświętszej Panny w Polsce oraz w rozprawach naukowych rozstrząsać wpływ tej czci na cywilizacyę naszą. Albowiem śladem za czcią Matki Najświętszej szła cywilizacya chrześcijańska. W tej myśli przygotowano u nas wydawnictwo *Księgi Pamiątkowej Maryańskiej*, do której liczni i wybitni autorowie pióra swe użyczyli. Przytaczamy szereg rozpraw wchodzących w skład wspomnianego wydawnictwa.

Szereg rozpraw poświęcony jest czci Matki Bożej w ogóle, oraz dogmatycznym podstawom tej czci. Tu należy wymienić: dr. Adam Miodoński, prof. wszechnicy Jagiellońskiej: „O czci Matki Bożej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa“; ks. dr. Sieniatycki, prof. uniwer. lwow.: „Teologiczne podstawy do dogmatycznego orzeczenia Wniebowzięcia z ciałem Matki Boskiej“; ks. Alfred Wróblewski: „Watykan a dogmat Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny“; ks. dr. Siemieński: „O fałszywem nabożeństwie do Matki Boskiej“; Trzecieski: „Mater boni consilii“.

Obszerny szereg rozpraw ma za przedmiot cześć Matki Bożej w Polsce w ogólności: ks. dr. Jan Fijałek, prof. uniwer. lwow.: „Historya czci Matki Boskiej w dawnej Polsce w ogólności“; dr. Antoni Kalina, prof. uniwer. lwow.: „Bogarodzica Dziewica“; prof. dr. Józef Żuliński: „Historya obrazu Wniebowzięcia Maryi Panny, Królowej nieba i ziemi w archikatedrze lwowskiej“; ks. dr. Jan Siemieński: „O znaczeniu historycznem i społecznem ślubów Jana Kazimierza w archikatedrze lwowskiej“; ks. kan. Aug. Błachut: „Małoznany przywilej Piusa IX dla Polski“; ks. A. Górnisiewicz: „O różańcu w Polsce“.

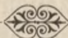
Inne rozprawy tyczą się czci Matki Bożej w poszczególnych stronach. Tutaj podane są historye najsłynniejszych cudownych obrazów Najświętszej Maryi Panny, jak Częstochowskiej, Ostrobramskiej, Kalwaryjskiej, Zebrzydowskiej i na Żmudzi: o Kochawińskiej, Szydłowieckiej, i t. d., i t. d. W osobnych rozprawkach przedstawiają: ks. prof. dr. Krypdakiewicz, „Cześć Matki Bożej na Rusi“; ks. kan. Dawidowicz: „Cześć Matki Bożej u Ormian“; dr. Władysław Abraham, prof. uniwer. lwow., wykazuje, że już błogosławiony Jakób Strepa, arcybiskup lwowski, miał szczególną cześć dla Panny Najświętszej.

Dalsze rozprawy poświęcone są czci Matki Bożej w kongregacyach sodalicznych w Polsce: O. Rafał Kulinowski: „Cześć Matki Bożej w Karmelu Polskim“; hr. Władysław Tarnowski: „O szkaplerzu Karmelitańskim w Polsce“; ks. kan. Błachut: „Kanonicy Regularni Laterańscy w Polsce“; O. Szumski, Zak. kazn.: „Cześć Matki Bożej w klasztorach Dominikań-

skich w Galicyi"; „Cześć Matki Bożej w klasztorze PP. Benedyktynek w Staniątkach"; „Cześć Niepokalanej Bogarodzicy w Zgromadzeniu Sióstr Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny". O działalności zaś Sodalicyi Maryańskich w Polsce podane są tak sprawozdania ogólnej działalności, jako też rozprawy zasadnicze, jak np. dr. Józef Brzeziński, prof. Wszech. Jagiell.: „Obowiązki społeczne Sodalisa na podstawie encykliki Immacolata Dei". Helena hr. Mycielska: „Sodalicye w Polsce"; ks. Adolf Lachmann: „T. J. dogmat Niepokalanego Poczęcia w wychowaniu młodzieży"; Marya Wielowiejska: „O znaczeniu Kongregacyi Maryańskich w zakładach wychowawczych żeńskich"; ks. Józef Piechnik: „O rozwoju czci Matki Bożej w szkołach ludowych".

Ponieważ niemożliwem jest, aby przy pierwszej próbie podania całokształtu czci Matki Bożej w Polsce podano odrazu wyczerpujący obraz tej czci, podjęto i urzeczywistniono myśl, żeby pierwszy raz w naszej literaturze zebrać bibliografię wszystkich dzieł, jakie kiedykolwiek u nas wyszły o czci Matki Bożej. Pracy tej podjął się dr. W. Bruchnalski, docent uniwer. lwow., który w rozprawie p. t. „Bibliografia Maryologii Polskiej" zebrał tytuły wszystkich dzieł maryologicznych w Polsce od r. 1500 — 1900, poprzedzając według materyi uporządkowany opis obszernym wstępem o ogólnym poglądzie na maryologię polską.

Obszerne rozprawy traktują o wpływie czci Matki Bożej na naszą literaturę i sztukę: dr. Józef Tretiak, prof. Wszech. Jagiell.: „Cześć Najświętszej Maryi Panny w poezyi polskiej"; dr. Jerzy hr. Mycielski: „Matkę Boską w malarstwie i rzeźbie w Polsce"; ks. prałat Józef Surzyński: „Najświętsza Marya Panna w muzyce polskiej"; architekt dr. Zubrzycki: „Architektura na usługach Najświętszej Maryi Panny w Polsce".





Kompania z Mińska Gubernialnego pod przewodnictwem swego pasterza, u stóp Jasnej-Góry.

Od Redakcyi.

Szanownemu ks. Snaw. w Bor. Prenumerata opłacona do 1 lipca roku bieżącego.

Szanownemu ks. A. Much. w B. Prenumerata opłacona za cały rok 1904, nadto pozostało 50 kop.

Szanownemu ks. J. Kuch. w Jan. Obydwa egzemplarze opłacone do 1 stycznia 1905 r.

W-nemu P. St. Cieśl. w Kal. Przekaz otrzymaliśmy. Obrazy wyślemy.

W-nemu P. St. Wal. w Ger. Książki, o które Pan zapytuje — wyczerpane.

W-nemu P. T. Wojc. w Jędrzejowie. Przekaz otrzymaliśmy.

W-nemu P. B. Boż. w Leo Minn. Rachunek w porządku. Prenumerata za cały rok bieżący opłacona, — przesyłka premium również. Premium wyślemy takim sposobem, aby Pan nie miał tym razem kłopotu przy odbiorze przesyłki z poczty.

W-nemu P. R. Pom. w Kal. Przesyłkę otrzymaliśmy. Adres zmieniony.

W-nej Pani St. Jan. w Such Prenumeratę otrzymaliśmy. Obraz jest poświęcony.

„Lubliniance“. Rb. 5 otrzymaliśmy. Życzenie Sz. Pani spełnione.

W-nemu P. I. Niewęgł. w Pasz. Tom czerwcowy powtórnie wysłany. Premium wyślemy, jak tylko będzie gotowe. Powieść „W Szwedzkich szponach“ wyjdzie w osobnej książce dopiero po skończeniu druku w „Dzwonku Częstochowskim“. Książka ks. Kazimierza Siedleckiego o czci Eucharystyi Najświętszej Maryi Panny wyczerpana. „Dzwonek Częstochowski“ w dalszym ciągu wysyłamy. List Pański pełen serdeczności i życzliwości pozostanie dla nas miłą pamiątką.

Szanownemu ks. Nap. Sobol. w Ind. 8 rb. na prenumeratę odebraliśmy. Za błogosławieństwo i życzenia płynące z prawdziwie kapłańskiego serca szczerze dziękujemy.

Szanownemu ks. I. Char. w Drużb. Prenumeratę całoroczną odebraliśmy. Za życzenia błogosławieństwa Bożego w naszej pracy „Bóg zapłać!“

Szanownemu ks. E. Michniew. w Bus. Premium wysłane. Serdecznie dziękujemy za słowa życzliwości.

W-nej Pani M. Okuń. w Annop. 6 rb. odebraliśmy. Wyrazy życzliwości i błogosławieństwo zasyłamy.

W-nemu P. Jan. Ptasz. w Gród. Dwie książki o Męce Pańskiej wysłane. Życzenia wyrażone w liście spełnione. Niech Was Bóg błogosławi.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.

